

motherless



Mad Bartnicka

Mad Bartnicka

Motherless

Łódź

2023

© Copyright by Mad Bartnicka, 2023

Redakcja:
Anna Grzeszczyk

Korekta:
Ewa Anna Sosnowska

Projekt okładki:
Magdalena Bartczak
@magabaga_graphic_design / @art.pleasures

ISBN 978-83-969757-0-6



- Taki mądry, a taki głupi!
- Czy ty za grosz nie masz wstydu?
- Chwilami wolałabym w ogóle nie mieć syna!
- Nie wiem, czy ja mam ochotę w ogóle cię jeszcze oglądać.

Tak, to o mnie. Słowa mojej rodzonej matki, które wybrzmiały już dawno, a jednak regularnie mnie dościgają, kąsają i zostawiają z nową raną, która boli wcale nie mniej niż za pierwszym razem. Słowa, których nie da się odwołać ani odsłyszeć.

Potrafią zepsuć najlepszą chwilę.

I wiernie towarzyszą w tych najgorszych.

* * *

Tamten dzień był przeważnie słoneczny. Słoneczny, ale wietrzny, dlatego ubraliśmy się w płaszcze. Szliśmy przez cmentarz ramię w ramię, powoli, otoczeni tłumem ludzi. Zza ciemnych okularów obserwowałem niebo i szybko przesuwające się chmury, które raz po raz odsłaniały na krótki moment słońce, żeby po chwili znowu je zakryć. Aura idealnie pasowała do tego, co działo się w mojej głowie.

Człowiek na pogrzebach jest dziwnie samotny. Nawet, a może zwłaszcza, w tłumie. I tylko te myśli idą ze mną krok w krok. Szturchają pod żebra raz po raz – pamiętasz? Pamiętasz? A to pamiętasz?

Próbowałem je przeganiać, ale na ich miejsce natychmiast pchały się inne. Próbowałem ignorować, jednak równie dobrze można starać się zignorować plaskacza, kiedy czyjaś dłoń właśnie łąduje mi na twarzy. Łzy same płyną do oczu, ale przynajmniej nikt się temu nie dziwi, pogrzeb to dobra okazja do płaczu, z którego nie trzeba się tłumaczyć.

„Chwilami wołałabym w ogóle nie mieć syna”...

Niektóre słowa bolą bardziej niż uderzenie otwartą dłonią w twarz.

Może naprawdę jestem głupi. Kiedyś myślałem, że nawet głupie dzieci zasługują na miłość matki. Bezwarunkową. Dozgonną. A jednak nie.

Zatrzymaliśmy się przy otwartym grobie. Mistrz ceremonii kontynuował uroczystość, a gdy urna zniknęła już pod marmurową płytą, puścił muzykę. Ale nie marsz pogrzebowy. Nie *Ave Maria* ani *Il Silenzio*.

Kiedy tylko zabrzmiały pierwsze dźwięki, wszystko wokół zatrzymało się na moment, zaskoczone i zasłuchane. Ptaki umilkły, wiatr ucichł, a jednolicie czarny tłum zastygł z wymalowaną na twarzach zadumą, która jednak szybko zaczęła ustępować miejsca rzewnym uśmiechom. Chusteczki też poszły w ruch.

– Dobry wybór – usłyszałem tuż obok siebie. A potem ten sam głos śmiało, lecz z wyczuciem zanucił kilka wersów wraz z Davidem Bowie.

Though nothing, will keep us together, we could steal time, just for one day¹.

I wtedy już nie powstrzymałem łez.

* * *

Nie trzeba śmierci, żeby kogoś stracić. Jednak dopóki ona się nie wtrąci, pewne rzeczy da się naprawić, wielu ludzi odzyskać. Paradoksalnie bywa również odwrotnie – niektórych można odzyskać dopiero po tym, jak umrą.

Nie wiem, w którym dokładnie momencie straciłem moją matkę. Czy był to powolny proces, którego nie zauważałem, czy jeden moment, gdy nasza więź pękła jak naprężona do granic możliwości lina. Pamiętam jednak, i to w najdrobniejszych szczegółach, ten dzień, kiedy po raz pierwszy poczułem przedsmak nadchodzących zmian. I ten lęk, że dzieje się coś nieodwracalnego, co zmieni dla mnie całą przyszłość.

To były walentynki. Zadzwoiłem do matki z życzeniami, nie z okazji walentynek rzecz jasna, tylko urodzin, które miała właśnie tego dnia. Charakterystyczna data nie raz uratowała mi skórę, przynajmniej nie zapominam o niej tak łatwo, jak o wszystkich innych okazjach.

¹ „Mimo że nic nas przy sobie nie zatrzyma, moglibyśmy ukraść czas, chociaż na jeden dzień”. David Bowie, *Heroes*, 1977

Zadzwoiłem nie bez oporów, bo wiedziałem doskonale, że znowu usłyszę od niej kilka gorzkich słów, ale co zrobić. Matka to matka.

– Wszystkiego najlepszego, mamó. Zdrowia, szczęścia, pieniędzy – wyklepałem standardową formułkę. Nie jestem mistrzem składania życzeń, to prawda. Za to Vesna nie jest mistrzynią ich przyjmowania.

– A ty mi musisz wiek wypominać? – oburzyła się, zamiast podziękować. Gdybym nie wypomnił jej wieku, przy najbliższej okazji usłyszałbym:

– Nawet o matki urodzinach nie pamiętasz.

– Życzenia chciałem ci złożyć, a nie coś wypominać – odparłem, znużony już na samym wstępie rozmowy. I po co ja się staram? Cokolwiek zrobię lub nie zrobię, i tak zawsze będzie źle.

– A wiesz, czego ja bym sobie życzyła? – usłyszałem tym razem w podzięce za życzenia urodzinowe, może mało poetyckie, ale szczere. – Żeby mój syn poszedł wreszcie po rozum do głowy. Życie ci mija na zabawie, ale zabawa to nie wszystko, pojmij to w końcu.

Westchnąłem, lecz nic nie odpowiedziałem. Żadne słowa jej nie przekonają, że związek z człowiekiem, którego kocham, to nie jest zabawa. Wybierając Kamila na swojego życiowego partnera, wybrałem nieustającą imprezę zamiast odpowiedzialności, obowiązków, poważnych planów na przyszłość. Wybrałem seks zamiast

miłości, rodziny, szczęścia. Tak to przynajmniej wyglądała w oczach Vesny. Nieważne, jak jest naprawdę.

Moje milczenie nie zrobiło na niej wrażenia.

– To co, przyjdiesz w niedzielę na urodzinowy obiad? – zaproponowała jak gdyby nigdy nic, jakby nie wbiła mi przed chwilą w serce kolejnej lodowej igły. – Cielęcinkę zrobię, co ty na to?

Wiedziała doskonale, że cielęcinką mnie skusi. A jednocześnie dała mi wyraźnie do zrozumienia, żeby mi czasem nie przyszło do głowy, że Kamil, wegetarianin, też jest zaproszony.

– No to jak? – ponagliła mnie, gdy nadal nic nie mówiłem, by przypadkiem nie wypalić, żeby się wypchała swoją cielęcinką. Czasami aż świerzbiał język, żeby jej się odgryźć za te jej złośliwości. No ale może niekoniecznie akurat w urodziny. Opanowałem się więc i chociaż wcale nie miałem na to ochoty, pokornie odparłem:

– Tak, mam. Przyjdę. Na którą?

Nasza relacja należała do tych, mówiąc ogólnie, skomplikowanych. Szczególnie odkąd matka się dowiedziała o Kamilu. Gdybym powiedział, że przyjęła to chłodno, byłbym równie bliski prawdy, twierdząc, że zimą na szczycie Everestu powiewa przyjemny zefirek. O tym drugim co prawda nie miałem okazji przekonać się osobiście i raczej już nie zamierzam, ale temperatura uczuć Vesny wobec Kamila w zupełności wystarczała, bym nabawiał się regularnych odmrożeń. Myślałem, że z czasem jej przejdzie, ale

gdzie tam. Każda okazja była dobra, by wypuścić w moją stronę strzałę z lodowym grotem. Zadrwić, ośmieszyć, zawstydzić. Bo zamiast żyć jak pambuk przykazał, ja muszę wydziwiać i cudować.

Vesna miała trudne życie, to się zgodzę. Ale czy dlatego postanowiła zatruć także moje? Nie wiem. Wiem za to, że nie tylko ona postawiła sobie za cel właśnie w tym się wyspecjalizować. Równie dobry w komplikowaniu mi dnia powszedniego był Kamil, no i przede wszystkim ja, we własnej osobie.

Na wieść, że w niedzielę idę do matki, Młody skrzywił się wrednie. Nie lubił jej równie szczerze, jak ona jego. Trochę mnie kłuł ten brak sympatii czy choćby szacunku z jego strony, ale nie mogłem się temu dziwić. Vesna traktowała go podle, tym najgorszym, starannie zawoalowanym rodzajem podłości. Dlatego zwykle dbałem o to, by nie mieli ze sobą kontaktu, a moja pozycja w tym trójkącie byłaby idealną ilustracją do hasła „między młotem a kowadłem”. Ciężko jest, cholernie ciężko, gdy dwie najważniejsze osoby w życiu są aż takimi antagonistami.

– To co, mam szykować gajer? – zapytał ze zjadliwą ironią, a gdy przez chwilę się wahałem, co mu odpowiedzieć, roześmiał się i poklepał mnie po policzku. – Wyluzuj. Przecież wiem, że nie jestem zaproszony.

Było mi głupio za tę moją matkę, tym bardziej że ja u jego rodziny zawsze byłem witany z otwartymi ramionami i uśmiechami na twarzach. Za wiele tej rodziny nie miał, tylko brata, bratanicę,

ciotkę i dwójkę jej dorosłych dzieci, z którymi widywaliśmy się rzadko, ale wszyscy stali za sobą murem, bez wyjątków. Każdy był tam równie ważny i równie mile widziany. Każdy mógł liczyć na czyjąś pomoc w dowolnej sytuacji. Jeremi na przykład, czyli brat Młodego powszechnie zwany Jerryem, a przez Kamila – Remim, zawsze chętnie przygarniał naszego psa, kiedy wyjeżdżaliśmy albo wychodziliśmy gdzieś na dłużej. Ale jeśli zdarzyłoby się tak, że akurat nie może – zrobiłaby to ciocia Basia, jej syn albo córka, bez proszenia i pytania, jak mamy zamiar im się za tę przysługę odwdziaczyć.

Czułem się wśród nich jak wśród swoich. Nikt nie robił tam z naszego związku problemu, żartu ani sensacji. Wręcz przeciwnie, niejedną raz słyszałem, jak to dobrze, że Młody ma wreszcie kogoś na stałe, że trafił akurat na mnie i jak bardzo zmienił się przy mnie na plus.

To tylko matkę tak bardzo kłuło w oczy moje szczęście. Nie pasowało do jej wizji, którą wyhodowała sobie w głowie. No dobra, może trochę z mojej winy, bo przed Kamilem istotne miejsce w moim życiu zajmowała Ola. Koronowy pierścienek, który dostała ode mnie w Chorwacji, nazywała zaręczynowym. Też zresztą z mojej winy, gdyż z moich ust w romantycznej scenerii chorwackiej plaży wymknęło się pytanie, którego nie zamierzałem zadawać. A Ola zrozumiała je tak, jak zasugerowały jej okoliczności jakby stworzone do oświadczeń. Za tym nieszczęsnym pytaniem

ruszyła cała lawina wydarzeń. Ale to inna historia¹. Jakimś cudem zakończona pomyślnie dla obu zainteresowanych stron.

Niestety Vesna w przeciwieństwie do nas utknęła mentalnie w tamtej bajce. W wyobraźni już była teściową, babcią, matką żonatego syna. I gdyby na mojej drodze nie stanął Kamil, kto wie, może bym i wziął na klatę konsekwencje tamtego nieprzemyślanego pytania. Tylko że papiery rozwodowe już pewnie leżałyby w sądzie, a Ola i ja nie moglibyśmy na siebie patrzeć – ja na tę, której ofiarowałem trochę za wiele, a ona na tego, który dał jej o wiele za mało.

Kiedy raz, drugi, enty próbowałem przetłumaczyć matce, że swoje szczęście znalazłem gdzie indziej, a Ola tym bardziej, Vesna tylko patrzyła na mnie z rezygnacją.

– Ech, Sasza, Sasza. Takiś mądry, a taki głupi.

Całkiem jak Witek, dodałaby chętnie, ale o zmarłych przecież nie wypada mówić źle.

Dlatego zwykle o moim ojcu matka nie mówiła nic.

Tak samo, jak o byłej Jugosławii.

* * *

Kiedy pojawiłem się u Vesny na urodzinowym obiedzie z bukietem kwiatów i butelką wina, przywitała mnie niby serdecznie,

¹ Opowiedziana w książce *Syn wiosny*.

ale już po paru minutach usłyszałem, jak by to było miło, gdybyśmy mogli świętować takie okazje w rodzinnym gronie.

– Nie przypominam sobie, żebyś zapraszała mnie dzisiaj razem z moją rodziną – odparłem bez namysłu. W odpowiedzi tylko prychnęła.

– Ręce umyj – dodała po chwili. – Zaraz będziemy siadać do stołu.

Na samą myśl o zbliżającej się wyżerce zaburczało mi w brzuchu.

Co by nie mówić o mojej matce, jej kuchnia potrafiła wynagrodzić złośliwości i aluzje, którymi mnie raziła. Nie mogłem się opanować, żeby nie zjeść całej porcji nałożonej na talerz, o wiele za dużej, jak zwykle. Do mięsa zrobiła kluseczki i posypała je startym serem. To wszystko pływało w gęstym, aromatycznym sosie. No po prostu zajebioza. Pochłaniałem kęs za kęsem, chcąc się jak najwięcej nacieszyć, zanim mój poryty mózg się skapnie, że jemy, i powie: ej, dosyć. Odłóż widelec. Mamy na pokładzie jeden żołądek.

Matka patrzyła na mój apetyt z zadowoleniem. Niezależnie od niego musiała sobie jednak zadrwić:

– W domu to pewnie normalnych obiadów nie jesz?

– Jem – burknąłem z pełnymi ustami, nie wdając się w szczegóły. Kamil nie jadł mięsa, ale mnie tego nie zabraniał. Inna kwestia, że w porze obiadowej często nie było go w domu, a jeśli jadłem sam, to zwykle byle co, kanapki z serem albo mrożoną pizzę,

w najlepszym wypadku kotlety albo zrazy kupione na garmażu. Lubię dobrze zjeść, tyle że zwykle nie mam czasu na przygotowywanie wymyślnych potraw.

Tym bardziej nie mogłem zostawić na talerzu ani kęsa czegoś tak doskonałego, jak ta paścicada. Nawet kiedy matka doprawiła ją kilkoma kwaśnymi uwagami. Puszczając je mimo uszu, zachowując energię na trawienie tego, co miałem w żołądku, a nie Vesnowych uszczypliwości. Dopiero to, co zaserwowała mi na deser, okazało się trudne do przełknięcia. I nie mam na myśli strudła.

– Jak już jesteś, to ci o czymś powiem – zaczęła, a ja, nażarty i rozleniwiony, mruknąłem tylko:

– Mhm?

– Sprzedaję mieszkanie.

Chwilę trwało, zanim dotarł do mnie sens obu słów. Sprzedaję. Mieszkanie. Były tak niespodziewane, że musiałem je dopasować jak dwie części układanki i dopiero wtedy ujawniły swój prawdziwy kształt.

Mój błogostan momentalnie się ulotnił. Wyprostowałem się na siedzisku, z którego zdążyłem już zjechać, bo mój środek ciężkości wyraźnie się przemieścił po tym obżarstwie.

– Sprzedajesz mieszkanie? – powtórzyłem, totalnie zaskoczony.

– Tak.

– Dlaczego?

– A to ja ci się muszę tłumaczyć?

Westchnąłem po cichu. Czy naprawdę każda nasza rozmowa musi w ten sposób wyglądać?

– Już tak nie wzdychaj. Sasza, no co ja ci mam powiedzieć. Jest o wiele za duże dla mnie samej. A wnuków nie mam, to komu je zostawię?

– A nie przyszło ci do głowy, żeby się ze mną zamienić?

Już od jakiegoś czasu byliśmy z Kamilem zgodni co do tego, że brakuje nam jeszcze przynajmniej jednego pokoju. Dla niej za duże? Za to dla nas w sam raz, rozwiązanie nasuwało się samo.

Vesna uważnie obejrzała swoje dłonie. Naiwny byłem sądząc, że to już koniec wbijanych w moje najczulsze miejsce szpil.

– Ano... Gdybyś miał normalną rodzinę, pewnie bym to rozważyła – usłyszałem. – A tak to... No, zdecydowałam inaczej.

– Okej, twoje mieszkanie, rób co chcesz. – Nie miałem zamiaru o nic prosić ani się zdradzać ze swoim rozczarowaniem.

– Otóż to – zgodziła się matka. – Całe życie to ja musiałam się naginać i dostosowywać. Tym razem pomyśl przede wszystkim o sobie. Poza tym – dodała – twoje jest mniej warte. A ja potrzebuję pieniędzy.

Po raz pierwszy tego dnia wykazała się jakimkolwiek pragmatyzmem, co szanowałem, ale przecież istniało proste rozwiązanie, które zaraz jej podsunąłem:

– No dobra, a jeśli dopłacimy ci różnicę?

Zagryzła wargi. Już myślałem, że się namyśla, że wcześniej jakimś cudem na to nie wpadła, kiedy usłyszałem kolejne gorzkie słowa.

– Nie, ja nie chcę, żebyś zamieszkał tu... z nim.

Na chwilę mnie zatkało. No tak, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o to, co ludzie powiedzą. Opinia sąsiadów jest dla matki więcej warta niż mój komfort. Spoko. Niech i tak będzie.

Vesna natomiast, jak gdyby nigdy nic, płynnie przeszła do biznesowej części rozmowy.

– Pomożesz mi z tym trochę?

– Znaczy że co, mam ci kupca poszukać? – warknąłem, odzykując mowę. Zamachała mi przed nosem mieszkaniem, którego nie dostanę ani teraz, ani, jak się okazuje, nigdy, i liczy na moją pomoc. Najchętniej bym jej pokazał środkowy palec, tak jak ona mnie, i wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

– Nie, z tym sobie akurat poradzę, zresztą chyba mam już chętnego. Ale trzeba będzie to wszystko przejrzeć, spakować... – Matka zatoczyła rękami obszerny krąg, dość dobrze obrazujący liczbę przedmiotów zgromadzonych w mieszkaniu przez trzy dekady. Tym zbieractwem chyba rekompensowała sobie moment, w którym musiała zostawić niemal wszystko, pośpiesznie wyjeżdżając z Zagrzebia do Polski.

Widząc moją minę, pewnie idealną na mema, Vesna trochę ograniczyła potencjalne poletko moich działań, dodając:

– A przede wszystkim to u ciebie w pokoju ciągle są jeszcze jakieś twoje rzeczy. Chociaż z nimi zrób porządek.

– Możesz je spokojnie wynieść na śmietnik – podsunąłem. Jeśli coś nie było mi potrzebne od wyprowadzki z domu, to znaczy od kilkunastu lat, to raczej dam radę bez tego żyć dalej.

– O nie, Sasza. Ja nie będę decydować za ciebie. Sam sobie swoje rzeczy powyrzucaj. Potem się okaże, że ci jakieś skarby poginęły. Poza tym co ty sobie myślisz? Przecież ja nie będę się z tym wszystkim sama szarpać.

Sama podjęłaś decyzję, to sama się teraz szarp, miałem na końcu języka. Ale gryzę się w niego i tak zdecydowanie za rzadko, więc tym razem przełknąłem te słowa, odetchnąłem i siląc się na spokój, zapytałem:

– No a ty masz już coś na oku? Bo skoro sprzedajesz, to, jak rozumiem, również kupujesz? Czy pod most pójdziesz mieszkać?

– Jednak nie podarowałem sobie małej złośliwości.

Matka milczała przez chwilę. Spojrzałem na nią badawczo.

– Mamo?

Oparła łokcie na stole i starannie zaplotła dłonie, budując napięcie.

– Och, wiem, co na to powiesz – odezwała się w końcu. – Ale w sumie mów sobie, co chcesz. Sam dokonujesz niemądrych wyborów, twoja ocena mnie nie interesuje.

Pomasowałem dłonią czoło. Piękny wstęp, nie ma co.

– Cieszę się – odparłem. – W takim razie wal prosto z mostu, a ja nie będę nawet komentował.

– No dobrze. – Jednak wahała się jeszcze przez moment, widać moja ocena nie była aż taka nieistotna. – Wyprowadzam się na wieś.

– Co? – Byłem niemal pewien, że się przesłyszałem. – Gdzie się wyprowadzasz?

– Na wieś – powtórzyła nieco głośniejszym głosem.

– Na jaką, kurwa, wieś? – Ja też podniosłem głos.

– Sasza, czy ty się nie zapominasz? – zareagowała ostro.

Bezsilnie opadłem plecami na oparcie krzesła i przez chwilę gapiłem się w okno. Nie dalej jak parę tygodni wcześniej stoczyłem już jedną batalię o zakup domu, i to najchętniej na wsi, gdzieś pod lasem, bo Kamil przecież tak bardzo kocha las, że musi go mieć za sąsiada. Obaj zgadzaliśmy się co do tego, że przydałoby się nam większe lokum, ale ja chciałem kupić po prostu trzypokojowe mieszkanie, a on forsował pomysł z domem. Zwykle pragmatyczny i rozsądny, był wyjątkowo oporny na moje argumenty, że dla kogoś, kto nie ma prawa jazdy, zamieszkanie z dala od miasta nie jest najlepszą opcją, a ja nie mam zamiaru być jego szoferem do końca życia. Przez kilka dni się na mnie bocył, zanim w końcu do niego dotarło, że jego wizja domu z gankiem i ogrodem jest owszem, bardzo romantyczna, za to mało praktyczna. Mimo to nasze rozmowy o zmianie adresu i tak utknęły w martwym punkcie,

oznaczone jako łatwopalne. A teraz matka mi funduje powtórkę z rozrywki. Zajebicie, po prostu zajebicie.

– Czy ty jesteś poważna? – zapytałem, kiedy trochę ochłonałem. – Sprzedasz mieszkanie, żeby wyprowadzić się na wieś?

– Tak – odparła hardo.

Przytknąłem palce do czoła, daremnie próbując dokonać niemożliwego, to jest pojąć kobiecą logikę.

– Zaraz, zaraz. Poczekaj no. Mówisz, że trzy pokoje to dla ciebie za dużo, tak? Ale dom już nie jest za duży? – Spojrzałem na nią wymownie, otwierając szerzej oczy.

– To nie jest jakiś wielki dom. Raczej domek.

– No dobrze, ale i tak będziesz miała przy nim więcej roboty niż przy mieszkaniu w bloku! Jak ty chcesz wszystko ogarnąć sama? Jak to sobie w ogóle wyobrażasz? – dopytywałem się, pełen czarnych przeczuć, że będę w to zaangażowany dużo bardziej, niż bym chciał.

– Sasza, tak się składa, że wyobrażam sobie w najdrobniejszych szczegółach. Zawsze chciałam mieszkać w domu, choćby i niedużym. Mieć własne podwórko, ogródek, może kilka kur, świeże jajeczka na śniadanie... – rozmarzyła się.

– Tak? I będziesz się babrać w kurzym gównie dla kilku obsranych jajek? Tego zawsze chciałaś? – zapytałem z politowaniem. Matka spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym to ja bredził od rzeczy.

– Spokojnie, synku, kury już sobie daruję. Jestem realistką.

– Realistką – prychnąłem. Ona jest realistką. Już miałem zaproponować, by zajrzała do słownika wyrazów obcych, ale tylko pomasaowałem palcami skronie, czując, jak już czai się w nich ból głowy, który prędko ani łatwo nie minie. – Jesteś pewna, że to sobie przemyślałaś? Czy idziesz na żywioł i niech się dzieje, co chce?

– A niech się i nawet dzieje, co chce. – Sięgnęła po szklanekę z kompotem i wypila kilka ostatnich łyków, jakie zostały na dnie.

– Człowiek nie żyje wiecznie.

Jej niefrasobliwość mnie poważnie zaniepokoiła. Vesna nigdy nie była fantastką. Ani fatalistką. To była kobieta inżynier, mimo że wykształcenie miała humanistyczne.

– Tobie naprawdę coś się odkleja na starość – wysnęło mi się. No i wtedy to już się obraziła. Z okrzykiem oburzenia zerwała się od stołu i zaczęła zbierać naczynia.

Ruszyłem się niechętnie, żeby jej w tym pomóc, chociaż bardzo chciało mi się jeszcze parę chwil posiedzieć. Próbowałem zagadać, udobruchać ją jakoś, ale zadarła nosa i już w ogóle nie chciała mnie słuchać. Moje argumenty, jakby nie było, rzeczowe i konkretne, kwitowała wzruszeniem ramion albo prychnaniem. Kiedy się wreszcie odezwała, to tylko po to, żeby mnie ostatecznie zgasić tym jedynym koronnym kontrargumentem:

– Sasza, zrób ty wreszcie porządek ze sobą, zanim zaczniesz mi mówić, jak mam żyć.

* * *

Zauważyłem, że ludzie z miasta często mają tęsknoty i ciągoty do własnego domu. To widocznie jakiś atawizm z dawnych czasów, zanim zostaliśmy przyzwyczajeni do blokowisk. Zanim ktoś wpadł na szatański pomysł, że ludzi można układać warstwowo, w przypadkowym doborze, jak w chowie klatkowym, gdzie jeden drugiemu sra nad głową, a kiedy tylko pierdnie głośniej, wie o tym cały pion.

Ja nie mam z tym większego problemu. Nie znam innego życia, całe spędziłem jak kura na grzędzie, chociaż adres kurnika zmieniłem kilka razy. Mieszkanie w bloku jest może pozbawione intymności, ale wygodne. Chodniki się odśnieżają, śmieci się wywożą, klatka schodowa się myje. Moją potrzebę obcowania z przyrodą zaspokaja park, po którym biegam prawie codziennie. Jedyne powód, dla którego mógłbym woleć dom od mieszkania, to większa przestrzeń dla psa.

Vesna tęskni za domem, bo dorastała w domu. Tylko że wcale nie na wsi, a w dzielnicy miasta, w której dominowała niska, jednorodzinna zabudowa. Zresztą Kamil podobnie. Oboje dobrze znają różnicę między własnym podwórkiem a blokowiskiem. Wiedzą, jak to jest mieć a nie mieć sąsiadów za ścianą, nad sufitem, pod podłogą. I oboje mają w sobie tę tęsknotę, którą ja nie do końca rozumiem, typowy miastowy blockers.

Zdaję sobie sprawę, że Młody nie przepada za moim mieszkaniem, w którym brakuje mu i prywatności, i swobody. Widzę zazdrość w jego oczach, kiedy odwiedzamy znajomych z większym

metrażem. Słyszę komentarze, w których mimochodem podkreśla, jak to cudownie mieć przestrzeń do życia. Chciałbym zwiększyć jego komfort, ale nie za wszelką cenę, nie własnym kosztem, bo czy na wsi, czy w mieście, ten pracoholik zwyczajnie nie będzie miał czasu na zajęcie się domem i zostaną z tym sam. A teraz jeszcze matka swoją absurdalną decyzją zablokuje nas dodatkowo, bo skoro ona kupuje dom, to ja już na pewno się na to nie zdecyduję, ponieważ dobrze wiem, kto będzie jej ogarniał to nowe lokum.

Jedyną opcją, jaką dla nas widzę, jest zamiana mieszkania na większe. I, kurwa, idealna okazja właśnie przeszła nam koło nosa, a to dlatego, że Vesna chce mi zrobić na złość, za karę, bo przecież ja też nieustannie robię jej na złość. Nic innego mną w życiu nie kieruje, tylko przekora i chęć postawienia na swoim. Jestem nieznośnym, niereformowalnym dzieciakiem, który wymyślił sobie, że będzie biseksualny, bo queerowość jest teraz w modzie. A sprawę dodatkowo pogarsza fakt, że mogąc mimo wszystko wybrać dobrze, ja wybrałem źle. Więc Vesna mi teraz w rewanżu pokaze, jak to jest musieć przez całe życie znosić konsekwencje durnych decyzji, jakie podejmują nasi bliscy.

* * *

Wiedziałem, co będzie, gdy podzielę się nowinami z Kamilem. Wielki foch. Już sama postać mojej matki działa na niego jak płachta na byka, a jak jeszcze się dowie, że ona właśnie bezczelnie spełnia sobie jego marzenie, a nam na pociechę nie skapnie nawet

większe mieszkanie, znienawidzi ją jeszcze bardziej. Komu się za to oberwie? Vesnie? Niecee, oczywiście, że mnie.

Bo moja relacja z Kamilem też do łatwych nie należała.

Kamil bywał wredny, bywał złośliwy, bywał zimny jak szczyt Everestu. Genialny w każdej innej dziedzinie, z jedną ewidentnie sobie nie radził. Mianowicie z emocjami.

Rzadko sobie pozwalał na ich swobodne okazywanie. Nieczęsto o nich mówił. Szczególnie swoich ciepłych uczuć wobec innych ludzi nie lubił nazywać słowami. W zamian sygnalizował je gestami, czynami, troską, najczęściej okazywaną w dość szorstki sposób. Jednak tych dwóch prostych słów, które w każdym poprzednim związku były dla mnie oczywistością, nie usłyszałem do niego ani razu.

Nigdy wcześniej nie musiałem o nie prosić. Nie zawsze byłem za nie wdzięczny. Nie zawsze reagowałem jak trzeba. Czasami mnie wkurzały, bo uznawałem, że zostały wypowiedziane nie w porę. Ale zawsze miałem je za pewnik. Za dobro wymienne, dajesz – dostajesz.

Z Kamilem tak nie było.

Kiedy mówiłem mu „kocham cię”, to jakbym wrzucał kamień do studni.

Chłup. I cisza. Jedynie echo pobrzmiwało w uszach, jak po czymś urwanym w połowie.

Z początku czekałem cierpliwie. Nie każdy musi mieć w sobie na to gotowość w tym samym momencie, co ja. Niektórym ludziom

potrzeba więcej czasu, dojrzewają do tego, nie lubią rzucać słów na wiatr. Ale minęło pół roku, rok, dwa – i wreszcie zaczęło mnie to wkurwiać. Tym bardziej, że nie raz byłem świadkiem tego, jak Młody, myśląc, że nie słyszę, bez oporów zagadywał do naszego psa pieszczotliwym tonem:

– Moja kochana. A kochasz pańcia? Pańcio cię bardzo kocha.

Pies mu rzecz jasna nie odpowiadał, ale i tak zasługiwał na miłosne wyznania bardziej niż ja.

W końcu nadszedł dzień, kiedy moja frustracja sięgnęła zenitu. Któregoś ranka, gdy zegnaliśmy się przed wyjściem Kamila do pracy, a ja na moje wytrwałe „kocham cię” znowu usłyszałem tylko tę dudniącą ciszę, nie wytrzymałem.

Też mam własne problemy. Własne obawy, demony i granice wytrzymałości. I mam, kurwa, ChAD, o czym ludzie zdają się nie zawsze pamiętać, oczekując ode mnie wyważonych reakcji na niewyważone sytuacje.

– Tak dużo cię kosztuje, żeby odpowiedzieć chociaż „ja ciebie też”? – rzuciłem za nim, kiedy odchodził. Zatrzymał się w drzwiach pokoju i spojrzał na mnie. Już myślałem, że wreszcie się doczekam choćby takiego szczątkowego wyznania, ale on po namyśle powiedział tylko:

– Będę, jak będę. Trzymaj się.

– Kurwa, Młody! – Zerwałem się od komputera, na którym jak na ironię właśnie zaczynałem tłumaczyć artykuł o aleksytymii¹. I gdyby to chociaż naprawdę go dotyczyło, może dałbym spokój. Ale dobrze wiedziałem, że Kamil przeżywa emocje, umie je nazywać, opisuje je w swoich tekstach do piosenek, ma bogate życie wewnętrzne. Trwał tylko w niezrozumiałym dla mnie uporze, żeby nie powiedzieć tych dwóch słów, które zapewniłyby mnie, że nie jestem w tym sam.

Stał już przy drzwiach wejściowych, kiedy szarpnąłem go za ramię. Odwrócił się i spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Co ty robisz?

– Kocham cię – powtórzyłem, chociaż ton mojego głosu mógł wskazywać na skrajnie inne uczucie.

– Okej. – Przyjął do wiadomości i sięgnął do klamki. Coś we mnie wtedy pękło.

Pękło, że hej. Zastąpiłem mu drogę i wygarnąłem, co o tym myślałem. Usłyszał ode mnie wiele słów, na które bynajmniej nie zasługiwał. Słuchał tego spokojnie, a nawet jakby z lekkim znudzeniem, co mnie jeszcze bardziej rozjuszało. Kiedy wyrzuciłem z siebie wszystko, zapytał:

– Skończyłeś tę dramę? Mogę już iść?

– A idź i... – rozpedziłem się, ale w porę ugryzłem się w język.

– ...nie wracaj? – domyślił się sam.

¹ Aleksytymia – niezdolność do identyfikowania emocji, ich nazywania i okazywania.

Tego nie mógł ode mnie usłyszeć. Ani w domyśle, ani w żartach. Przerabialiśmy to już. Wtedy w końcu wrócił, ale przez ten czas, kiedy go nie było, dostałem srogą nauczkę. Za nic nie zaryzykowałbym po raz drugi.

– Nie – mruknąłem, już o wiele spokojniej. – Po prostu prze myśl to, o czym ci powiedziałem.

– Chyba raczej: o czym się na mnie wydarłeś – poprawił. – I szczerze mówiąc, Saszka, nie sędzę, żebym w ciągu dnia znalazł na to czas. Może zrobmy tak: w zamian za mnie to ty – stuknął mnie palcem w mostek – pomyślisz za nas obu. I umów się do lekarza, niech ci zmieni leki, bo te ci wybitnie nie służą.

I wyszedł, nie czekając już na nic, co mógłbym mieć jeszcze w tej sprawie do powiedzenia.

Ledwo zdążył zamknąć za sobą drzwi, poczułem złość, ale już nie na niego, lecz na samego siebie. Jeszcze nie tak dawno sam byłem po drugiej stronie barykady i doskonale wiedziałem, czym się kończy wszelki przymus w uczuciach. Katastrofą, ucieczką, czymś wręcz odwrotnym do zamierzonego efektu. Nigdy niczym dobrym. Co mnie napadło, żeby tak nachalnie domagać się od niego słownych deklaracji?

Dopiero teraz, z perspektywy czasu, widzę wyraźnie, że generalnie mnie wtedy nosiło, ale to nie była ta przyjemna, unosząca hipomania, tylko raczej zaczepna, szukająca dziury w całym, nabuzowana testosteronem. Nigdy nie zauważam jej w porę. Musi

dać mi solidnego prztyczka w nos, żebym się zorientował. Młody o tym wie, dlatego w takich momentach nie wdaje się ze mną w słowne potyczki. Muszę przyznać, że jest bardzo pojętny i sprytny, jeśli chodzi o postępowanie z moją afektywną.

Usiadłem z powrotem do pracy, ale nie mogłem skupić myśli. Słowa mi uciekały, zdania się rwały, na próżno szukałem synonimów. I to nie była wina leków, bo je odstawiłem, kiedy się przekonałem, że skutki uboczne znowu przeważają nad potencjalnymi korzyściami.

W końcu wziąłem psa i pojechałem do parku. Był wtedy sierpień, idealna pogoda, słoneczna, ale bez upału. Poganiałem się z Luną po trawie, poleżałem trochę nad stawem. Obojgu nam dobrze to zrobiło. Ona się wyszalała i już do końca dnia była spokojna, a ja przewietrzyłem umysł, zapewniłem sobie dawkę endorfin i mogłem z powrotem się zabrać za tłumaczenie artykułu.

Kamil wrócił dość późno. Zdążyłem już zapomnieć o porannym zajściu, dopiero na jego widok znowu zrobiło mi się głupio. Ale i on nie wydawał się chętny, by do tego wracać.

– Jadłeś? – zapytał, jak gdyby nigdy nic. – Przyniosłem handrolki.

Zaburczało mi w brzuchu i zdałem sobie sprawę, że w istocie nie jadłem już od wielu godzin. Zapisalem zmiany w pliku, wyłączyłem komputer i usiedliśmy razem do stołu. Kamil był w świetnym humorze. Miał mi tyle do opowiedzenia, że po pierwszym kęsie zapomniał o jedzeniu i tylko wymachiwał trzymaną w dłoni

wegetariańską rolką z warzywami w tempurze. Patrzyłem tylko, kiedy to wszystko wyleci mu z opakowania i wyląduje na podłodze, z pewnością ku wielkiej uciesze Luny.

Ja swoje dwie rolki prawie wciągnąłem nosem, zwłaszcza że wziął mi moje ulubione, z wołowiną chipotle. Młody mówił, a ja wcinałem i słuchałem go ze szczerym zainteresowaniem, bo jego dni często były naprawdę ciekawe. Robił fascynujące rzeczy, spotykał niezwykłych ludzi, a przede wszystkim – to, czym się zajmował, było jego pasją, więc opowiadał o tym z dużą swadą. Słuchało się tego jak wciągającej audycji, już nieraz mówiłem mu, że powinien mieć swój kanał na YouTube. I nawet się ze mną zgadzał, tylko że kompletnie nie miał na to czasu.

Kiedy już się wygadał, zapytał o mój dzień.

– Przetłumaczyłem artykuł i napisałem dwa teksty. I byłem z Luną w parku – odparłem i w sumie to było wszystko, co miałem do powiedzenia. Zaśmiałem się sam z siebie. – Nie wiem, dlaczego w ogóle jesteś z takim nudziarzem jak ja.

– Może mam jakieś swoje powody, o których ci nie mówię. – Spojrzał na mnie znacząco. O, więc jednak nie zapomniał, a tak na to liczyłem.

– Nadal twierdzę, że korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś czasami powiedział – mruknąłem. – A ja bym chociaż miał pewność, że ci na mnie jakkolwiek zależy.

Kamil uniósł brwi i wydał z siebie odgłos niedowierzania.

– Że co? Miałbyś pewność? Jeśli po tym wszystkim ty nadal nie masz pewności, to nie wiem, co może w tej kwestii zmienić jedno słowo.

Nie odpowiedziałem, bo nie miałem dobrego kontrargumentu. Niby czym miałem go przekonać – bo inni tak robią? Bo to romantyczne? Bo ja tak chcę?

Młody moje milczenie zinterpretował chyba jako objaw focha. Dokończył jedzenie, westchnął i rozsiadł się wygodniej na płóciennym krześle.

– Sasza, do diabła. Przecież wiesz, że jeszcze do niedawna na samą myśl o byciu z kimś na wyłączność uciekałem dalej, niż gdzie pieprz rośnie – przypomniał mi. – Serio myślisz, że jestem z tobą, bo mi nie zależy? To dlaczego? Z nudów? Z przekory dla samego siebie?

– Nie wiem. Może dla seksu – podsunąłem, chociaż dostrzegałem już wyraźnie, jakim idiotyzmem się cechuje moje dzisiejsze zachowanie.

– Ty teraz nie mówisz poważnie, prawda? – upewnił się Młody. – Seks to ja mogłem mieć gdziekolwiek, z kimkolwiek, w dowolnym momencie. I nadal mógłbym, gdybym chciał. Myślisz, że jesteś mi niezbędny do seksu?

Wzruszyłem ramionami. Kamil przez chwilę świdrował mnie wzrokiem. Nie wytrzymałem długo. Zaczepiłem leżącą przy stole Lunę, żeby wyjść z tego pojedynku na spojrzenia z honorem. Młody był jedyną osobą, z którą notorycznie je przegrywałem.

Zniecierpliwił się. Przejechał rękami po twarzy i pomasaował sobie czoło.

– Sasza... Jaki ty jesteś czasami trudny.

– Ty też łatwy nie jesteś – odparłem bez namysłu. Spojrzeliśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem, rozbawieni tą dwuznacznością. Swego czasu Kamil w pewnych kręgach słynął właśnie z tego, że był łatwy. Puszczął się, innymi słowy. Zresztą sam o tym przed chwilą wspomniał.

Teraz już się nie puszczał, ale niezamierzony żart rozładował napiętą sytuację. Śmiech był naszą tajną bronią, dzięki której ten związek mimo swojej trudności, obopólnych deficytów i częstej nieprzychylności świata trwał. I dlatego żaden żart – ani chamski, ani głupi, ani zupełnie nonsensowny – nie pozostawał przez żadnego z nas niedoceniony.

* * *

Kiedy wróciłem z urodzinowego obiadu u Vesny, Młody tylko na mnie spojrzał i wywrócił oczami, nie komentując mojej pochmurnej miny. Leżał na łóżku zakopany w koce i poduszki, razem z naszą labradorką, która była w niego zapatrzona jak w obrazek, chociaż to ja ją wziąłem z hodowli, wychowałem, karmiłem i zazwyczaj wyprowadzałem. Typowa sprawiedliwość dziejowa. Luna na mój widok zamerdała ogonem, ale już nie pofatygowwała się, by zleźć łaskawie z kołdry i się przywitać.

– Ty tak cały dzień? – zapytałem Młodego, trochę z zazdrością, a trochę z niepokojem, bo rzadko widuje się go przez dłuższy czas w bezruchu. Chyba że jest chory albo nieszczęśliwy. Kiedy wychodziłem z domu kilka godzin wcześniej, widziałem go dokładnie w tej samej pozycji.

– Nie, co ty. Akurat trafiłeś na pętlę czasową. – Oderwał wzrok od ekranu laptopa, na którym oglądał jakiś serial. – Położyłem się dosłownie przed kwadrans, jak wróciłem z Luną ze spaceru.

– Ale dobrze się czujesz?

– Trochę boli mnie głowa. Ale to pewnie przez pogodę. Ciągłe sypie?

– Prószy.

– Brrr – otrząsnął się i wyciągnął w moją stronę dłoń. – Chodź. Pogrzejesz mi drugi boczek.

Z ulgą położyłem się obok niego. Jednak kiedy zobaczyłem, co ogląda, myślałem przez chwilę, że puszcze pawia.

– Co to jest? Znowu jakiś horror?

Młody lubił horrory. Twierdził, że kiedy na nie patrzy, życie od razu zaczyna się wydawać mniej straszne.

– Raczej true crime – odparł. – Ale ogląda się jak horror.

Razem obejrzelśmy odcinek do końca, chociaż chwilami robiło mi się naprawdę niedobrze. Nienawidzę przemocy, nie toleruję jej w żadnej formie. Jedyna korzyść z gapienia się na tę masakrę była

taka, że przynajmniej zająłem czymś myśli bez konieczności ubierania w słowa tego wszystkiego, co przyniosłem ze sobą z obiadu u matki. Oprócz jedzenia na wynos, oczywiście.

Gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Kamil zapauzował serial i zamyślił się na chwilę.

– Ciekawe, kim bym został, gdyby nie muzyka – powiedział poważnym tonem. – Kto wie, czy nie seryjnym mordercą.

Ogarnął mnie atak śmiechu. Młody, którego trzeba było niemal reanimować, gdy się zaciął przy goleniu i zobaczył kroplę krwi, Młody, który prawie płakał ze współczucia, gdy zdarzyło mu się nadepnąć Lunie na łapkę, Młody, który uparcie wyganiał osy z mieszkania, zamiast je po prostu utłuc gazetą – seryjnym mordercą. Tiaaa. Chyba by zabijał śmiechem.

Spojrzał na mnie z urazą, ale po chwili chyba sam załapał komizm sytuacji i też się roześmiał.

– No co, nigdy nie wiesz, co w kim siedzi. Głodny pewnie nie jesteś? – Odłożył laptop i poklepał mnie po pełnym brzuchu.

– O nie – stęknąłem. – I raczej długo nie będę. We mnie siedzi jakiś milion kalorii z obiadu.

– Ja bym coś zjadł – uznał i podniósł się z łóżka. – Jak chcesz mi zepsuć apetyt jakąś bajką o wiedźmie, to chodź.

– Nie nazywaj jej tak. To jednak moja matka.

– Okej, masz rację. Wiedźmy są mądre. Twoja matka jest bardziej jak baba jaga. – Moją prośbą Kamil przejął się wyjątkowo mocno.

Nie znosił moich widzeń z Vesną i pewnie najchętniej by mi ich zabronił. Staralem się oszczędzać mu szczegółów, ale wystarczyło, że widział mój nastrój, kiedy od niej wracałem. Doskonale też zdawał sobie sprawę, że matka usilnie się stara nakłonić mnie do przemyślenia mojego postępowania jeszcze raz i zastąpienia Kamila bardziej odpowiednią osobą, która w końcu urodzi jej upragnione wnuki. Nie wiedziała tylko o jednym i nigdy nie miała się dowiedzieć – że wnuki tak czy inaczej nie wchodziły w rachubę, bo już wiele lat temu podjąłem decyzję o radykalnym cięciu. Płodzenie potomstwa nie jest opcją dla mnie, niezależnie od płci mojego partnera. Są ludzie, którzy po prostu nie powinni mieć dzieci – i ja do nich należę, a bycie świadomym tego faktu uważam za jeden z moich nielicznych życiowych sukcesów.

– I co, przekonała cię? Zostawiasz mnie już dzisiaj czy dopiero po wakacjach? – zapytał Młody z przekąsem, kręcąc się po kuchni i szykując sobie jedzenie. – Chyba po, co? Mamy przecież rezerwacje, za które płaciliśmy wspólnie. A potem to już nic nas razem nie trzyma.

– Daj spokój – odezwałem się tak cicho, że nawet nie miałem stu procent pewności, czy mnie w ogóle usłyszał. Chyba jednak nie.

– Od początku wiedziałem, że to się skończy przez kobietę, ale nie sądziłem, że będzie nią twoja matka, synu przekłętej wiosny –

gderał dalej, a ja już naprawdę miałem dosyć. – Pewnego dnia namiesz ci w głowie tak, że siebie samego nie poznasz, o mnie już nie wspominając.

Pokreślił się jeszcze chwilę, postawił na stole talerz z kanapkami i usiadł naprzeciwko mnie, naburmuszony. Luna natychmiast znalazła się przy nim, uważnie obserwując, czy coś czasem nie spada na podłogę.

Spróbowałem go trochę uspokoić, bo te jego fochy to było nic innego jak wyraz prawdziwych obaw, jakie w sobie nosił, mimo moich wielokrotnych zapewnień, że gdybym chciał mieć żonę, to już dawno bym ją miał. Jak również tych, że jestem z nim nie z nudów czy dla zabawy, a z przekonania i głosu serca.

– Młody, matka niech sobie gada co chce, ale ty mógłbyś mieć we mnie trochę wiary – zasugerowałem mu po raz kolejny. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, nigdzie się nie wybieram. Za to ona tak – powiedziałem nieopatrznie, chociaż wcale nie miałem ochoty teraz o tym rozmawiać.

– To znaczy? – Zmarszczył czoło, całkiem jak Luna.

– Eh... Wyprowadza się na wieś – mruknąłem.

Zerknął na mnie spode łba.

– Na wieś – powtórzył, po czym zaczął przekładać i poprawiać rzeczy na kanapkach, co wybitnie świadczyło o jego wzburzeniu.

– Pani Vesna przeprowadza się na wieś. No proszę. Ja nie mogę, ale ona tak. Dlaczego moje marzenia zawsze muszą się spełniać komuś innemu, nie mnie?!

– Błagam cię, tylko nie zaczynajmy tematu od nowa. – Zjechałem bezsilnie po siedzeniu. – A przynajmniej nie dzisiaj.

Wykończą mnie. Ci sami ludzie, co twierdzą, że mnie Kochają, któregoś dnia mnie wykończą.

Na szczęście posłuchał i odpuścił, chociaż wyraz jego twarzy wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że temat bynajmniej nie jest jeszcze zamknięty.

– A co z jej mieszkaniem? – zapytał w zamian.

– Sprzedaje.

– Sprzedaje? – Zamarł nad talerzem z plasterkami ogórka w palcach. – A uzgodniła to z tobą?

Oho, zaczyna się. Właśnie wkraczamy na pole minowe. Pola minowe to chyba moje naturalne środowisko życia, jak się dobrze zastanowić.

– Nie, po co. Przecież to jej mieszkanie. – Nie powstrzymałem się od sarkazmu. – Może sobie z nim robić, co chce, a mnie nic do tego.

– No a nie przyszło jej do głowy, że może chciałbyś się zamienić? Mielibyśmy wtedy chociaż te trzy pokoje, tak jak rozmawialiśmy!

Odwróciłem wzrok, przeczuwając, co się za chwilę stanie. I tak jak to było do przewidzenia, Młody sam się domyślił intencji Vesny i na serio się wkurwił.

– Rozumiem! Kolejna część kary za to, że Sasza jest niegrzeczny i nie słucha mamy! Zajebicie! – Rzucił ogórka byle jak

na chleb, wstał od stołu i podminowany zaczął krążyć po kuchni. – Niech ona się już wynosi jak najdalej!

– Kamil... – westchnąłem. Nic to jednak nie pomogło.

– No co? – Popatrzył zaczepnie. – Przynajmniej da ci wreszcie spokój. Bo w tej wyprowadzce, jak rozumiem, nie będziesz brał udziału?

– Będę – przyznałem, bo dobrze wiedziałem, jak to się skończy. Bynajmniej nie tym, że pojadę tam raz i zabiorę swoje rzeczy, o nie. Nie pojadę też dwa razy ani trzy. Ta sprawa mnie zaangażuje na wiele tygodni, jeśli nie miesięcy. Znam Vesnę, znam siebie. Każda spełniona prośba i wyświadczona przysługa pociągną za sobą kolejne i kolejne, a ja nie będę umiał odmówić, bo to moja matka. Jest jaka jest, ale jest.

Kamil zatrzymał się w miejscu i spojrzał na mnie rozjuszonym wzrokiem.

– Ty chyba żartujesz. Kurde, Sasza, ona cię traktuje jak niesfornego bachora, a ty, z tym twoim kręgosłupem, będziesz teraz biegał posłusznie z jej gratami na plecach? Poważny jesteś, człowieku? Nie zapomnij jej jeszcze podziękować na koniec! – sapnął, po czym usiadł z powrotem przy stole i zabrał się do jedzenia.

– Zrozum, że ona ma tylko mnie. Nie mogę jej po prostu olać.

Nic nie odpowiedział. Zrobił za to minę, jakby matka oczekiwała ode mnie najjaśniejszej gwiazdki z nieba, a nie drobnej przysługi. No, może nie takiej drobnej, ale też nie aż tak wydumanej, bym jej nie sprostął.

Poczułem się tym wszystkim cholernie zmęczony.

– Wiesz co, mnie też boli głowa. Idę się położyć – zdecydowałem.

– Poczekaj – zatrzymał mnie Kamil. Już w pół drogi do wstania z krzesła, z rezygnacją opadłem na nie z powrotem.

– No?

Zanim znowu się odezwał, pogryzł do końca i przełknął to, co miał w ustach.

– Kiedy się do niej wybierasz?

– Myślałem o wtorku.

Zastanowił się przez chwilę.

– Pojedziemy razem, ale w środę. Mogę się tak ustawić, żeby mieć całą wolną.

– Chcesz mi pomóc? – upewniłem się, niewąsko zdziwiony tą propozycją.

– No, to chyba oczywiste. – Wzruszył ramionami. – Tylko żeby było jasne, robię to dla ciebie, nie dla niej.

– Okej, dzięki. – Wciąż nie mogłem wyjść z szoku. – Ale wiesz, że to raczej nie będzie kwestia jednego dnia? No i... wiesz, jaka jest Vesna?

– Wiem, że mnie nienawidzi – nazwał rzecz bardziej po imieniu. – I szczerze mówiąc, mam to w dupie. Takie rzeczy już od dawna mnie nie ruszają.

Ruszały go, wiedziałem o tym bardzo dobrze. Nadrabiał miną i beczelnością, ale to były tylko maski, którymi próbował przykrywać swoją sensytywność. Wyszkolił się we wzruszaniu ramionami i przyjmowaniu ciosów na klatę bez mrugnięcia powieką, a potem starannie pakował cały ten ładunek emocjonalny w swoje piosenki i wyrzucał go z siebie na scenie, z przepony, z serca, z całego ciała. Może dlatego był tak dobrym frontmanem. Bo w istocie i wbrew pozorom wszystko przeżywał na dwieście procent. Umiał też nawiązać świetny kontakt z publicznością, którą łatwo doprowadzał do łez zarówno ze wzruszenia, jak i ze śmiechu, kiedy rzucał między piosenkami żartem lub krótką anegdotą, albo gdy celowo przekręcał fragmenty tekstów.

Tak, Kamil to był urodzony showman. I uwielbiał znajdować się w centrum uwagi. Jednak nie byłem przekonany, czy wie, na co się pisze, kiedy powtórzył:

– Pomogę ci. We dwóch damy sobie z Vesną radę.

Popatrzyłem na niego z niemym podziękowaniem w oczach, a kiedy odezwał się znowu, zrozumiałem, jaka była prawdziwa motywacja tej nagłej chęci pomocy:

– Może zamiast mieszkania kiedyś odziedziczysz po niej dom?

* * *

Kiedy matka zobaczyła Kamila w progu swojego mieszkania, znieruchomiała. Przez chwilę patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami i odniosłem wrażenie, że ma chęć zatrzasać nam drzwi

przed nosem. Nie uprzedziłem jej, że przyjdę z Młodym. Z dwojga złego wolałem, żeby była zaskoczona, niż z góry przygotowana na atak. Nie miałem też zamiaru się z niczego usprawiedliwiać ani tłumaczyć.

– Kamila pamiętasz? – rzuciłem tylko, ściągając buty.

– Dzień dobry, pani Vesno – śmiało przywitał się Młody, niezrażony jej chłodnym milczeniem.

– Dzień dobry. – Była zbyt dobrze wychowana, żeby nie odpowiedzieć, ale jej ton mógłby przeciąć papier. Jednocześnie popatrzyła na mnie morderczym wzrokiem.

– Musiałeś? – zapytała po chorwacku. – Akurat dzisiaj musiałeś?

– Musiałem – odparłem po polsku. – Nie będę się z tym wszystkim sam pier...

Naraz zaniemówiłem. W jednej chwili stało się dla mnie jasne, dlaczego „akurat dzisiaj” jest gorsze od innych dni. W progu kuchni stanął brodaty, mocno siwiejący mężczyzna, całkiem przystojny mimo podeszłego wieku, i przyglądał się nam z zaciekawieniem. Znałem go, w czasie studiów był moim wykładowcą. Pogrzebałem w pamięci i poskładałem sobie z urywków wspomnień jego nazwisko. Doktor Breznik, Niko Breznik.

Oprócz tego, że kiedyś uczył, a raczej próbował mnie uczyć językoznawstwa, Breznik od wielu lat przyjaźnił się z moją matką. Połączyła ich nie tylko profesja, ale i pochodzenie. Co prawda nie był Serbem, a Słoweńcem, który w Polsce znalazł się w zupełnie

innym czasie i okolicznościach niż my, ale i tak był Vesnie bliższy – mentalnie i etnicznie – niż jakikolwiek Polak, włącznie z moim ojcem.

– Zdravo, Sasza – powitał mnie, podchodząc i wyciągając dłoń. Uścisnąłem ją.

– Dzień dobry, panie doktorze.

– Profesorze – sprostował odruchowo i zaraz dodał: – Ale dajmy spokój z tą tytułaturą. Mów mi Niko, proszę. Przecież nie jesteś już moim studentem.

Odniosłem wrażenie, że miał na końcu języka puentę „i dzięki Bogu”, ale tylko wydał z siebie coś w rodzaju cichego chrząknięcia, a ja sobie przypomniałem, że zawsze tak robił. Przerywał swoje wypowiedzi chrumkaniem, mlaskaniem i innymi dziwnymi poświstami, z których podśmiewali się wszyscy studenci, ale naturalnie to mnie przyłapał pewnego dnia pod aulą, jak się z niego nabijam. Na szczęście podszedł do tego z humorem, mówiąc coś w stylu „Tylko wielcy ludzie doczekują się naśladowców”. Potem w ramach zemsty chętnie drwił sobie ze mnie błyskotliwie, a ja nie pozostawałem mu dłużny. Na każdych zajęciach cała grupa miała z nas niezły ubaw, a ja nigdy nie miałem już pewności, czy mnie organicznie nie znosił, czy na przekór wszystkiemu po cichu lubił.

– Nie no, nie wypada tak... – Próbowałem się bronić przed tym przejściem na ty, ale on nalegał:

– Bardzo proszę. Niko.

– Okej, niech będzie Niko – zgodziłem się, wciąż w lekkim szoku, i – przysięgam, nie wiem dlaczego i jak – całkiem niezamierzenie chrząknąłem zupełnie jak on.

Breznik posłał mi rozbawione spojrzenie i odwrócił się w stronę Młodego, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć lub o coś zapytać, wtrąciła się Vesna, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– A to... To jest Kamil, kolega Saszy. Jak miło, że zgodził się nam dzisiaj pomóc, prawda? – Palce wbijające się w mój obojczyk dawały mi wyraźnie do zrozumienia, że taka ma być oficjalna wersja. Ten niewerbalny przekaz nie dosięgnął jednak Młodego.

– Małe sprostowanie. Nie jestem kolegą Saszy, tylko jego chłopakiem. – Podeszedł do Breznika z wyciągniętą ręką. – Ale na imię rzeczywiście mam Kamil. Miło mi.

Odkąd zdecydował się na publiczny coming out, nie ukrywał już niczego przed nikim. Był gejem otwarcie i z dumą, i żadne obiekcje mojej matki nie były w stanie tego zmienić, nawet na chwilę.

– Hm. A to dopiero. – Na twarzy Nika pojawił się wyraz zmieszania. Uścisnął dłoń Młodego i pytająco spojrzał na Vesnę, a potem na mnie.

Tu nastąpiła pełna zakłopotania cisza. Dopiero kiedy Kamil wyswobodził rękę z uścisku Breznika, ten jakby się ocknął.

– Och, przepraszam. Naturalnie również mi miło – zmiętygował się. – Po prostu nie wiedziałem... Vesna nigdy mi nie mówiła, że... hm, że...

– Że Sasza ma chłopaka? – podsunął Młody.

– Otóż to. Słyszałem o narzeczonej, ale sądziłem, że jest płci żeńskiej.

– Była. Ale co nieco się pozmieniało od tamtego czasu. Widać pani Vesna nie zdążyła przez trzy lata o tym wspomnieć. – Kamila wyraźnie bawiła ta sytuacja. Ja zresztą też czułem cichą satysfakcję, widząc, jak matka wije się wewnątrz, chociaż stara się tego nie okazywać.

Breznik, wciąż skonfundowany, wychrząkał:

– Hm, hm. Rozumiem. Może nie było okazji. Tak czy inaczej, hm, gratuluję.

– Dziękujemy? – Młody uniósł brew. – A czego konkretnie?

– Ano, tak... ogólnie. Tego, że się odnaleźliście. Zawsze miło jest zobaczyć szczęśliwych młodych ludzi – wybrnął Niko.

– Niektórym wcale nie jest miło – mruknąłem, patrząc spode łba na matkę. Jednak on chyba wziął to do siebie.

– Ale ja naprawdę nie mam nic przeciwko – zapewnił. – Jestem co prawda zaskoczony, bo Saszę na studiach widywałem raczej z dziewczynami... No i ta narzeczonea... – Zamyślił się na moment.

– No ale cóż, hm. Jest jak jest. Mam nadzieję, że obaj będziecie nas często odwiedzać.

Wtedy dla odmiany ja na chwilę zaniemówiłem.

– Nas? – powtórzyłem po kilku próbach przetworzenia tego, co właśnie usłyszałem, i wbiłem wzrok w matkę, ale unikała go starannie. – Jak to nas? Halo? Czy ja znowu o czymś nie wiem?

Niko pobladł, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Vesna natomiast roześmiała się nerwowo i trochę za głośno.

– No, nie stójmy już tak w tym przedpokoju – odezwała się niby słodko, ale od takiej słodczy może człowieka tylko zemdlić. – Przed nami dużo pracy.

– Ty, co tu jest grane? – zapytał półgłosem Kamil, kiedy ze złością zatrzęsnałem za nami drzwi mojego dawnego pokoju. Potrzebowałem chwili odosobnienia, by ochłonąć i przemyśleć, co dalej – brać udział w tej szopce, czy olać to i po prostu iść do domu.

– Nie wiem, jakaś farsa najwyraźniej – odparłem ostro.

– No dobra, ale kim jest ten cały Niko? Nowym facetem twojej matki? Będą mieszkać razem?

– Na to wygląda.

Szybkim krokiem podszedłem do jednego z okien i szarpnąłem za klamkę, żeby otworzyć je na całą szerokość. Na dworze było zimnawo, ale tego właśnie potrzebowałem. Ochłonąć. Z plecaka, który wcześniej rzuciłem na parapet, wyciągnąłem paczkę fajek i zapaliłem jedną z nich.

Z pokoju obok, mimo grubej ściany, słychać było ożywioną rozmowę matki i Breznika, nie rozróżniałem jednak poszczególnych słów. I nawet mnie nie interesowały, bo w tamtym momencie byłem cały na nie, cokolwiek bym usłyszał. To nie miało znaczenia, skoro nie zostało powiedziane w odpowiednim momencie.

Matka jak zwykle zdecydowała się coś przede mną ukryć, bo łatwiej jest przecież udawać, że nic się nie dzieje, niż otwarcie wyłożyć kawę na ławę. Tak samo jak wtedy, gdy w naszym kraju rozpętała się ta głupia wojna i stało się jasne, że tam nie wrócimy. Albo tak jak wtedy, kiedy przez ponad trzydzieści lat ukrywała przede mną fakt, że chociaż całe życie funkcjonuję jako jedynak, w jej brzuchu nie byłem sam. Albo gdy ojciec zrobił sobie na boku moją przyrodną, siedemnaście lat młodszą siostrę. O tych rzeczach dowiedziałem się skądinąd, a o ilu ciągle nie wiem? Mogę się tylko domyślać.

To ukrywanie przede mną faktów za każdym razem kończyło się awanturą, kiedy w końcu określonymi drogami wychodziły na jaw, ale, jak widać, niczego to matki nie nauczyło. Nadal uparcie traktowała mnie jak naiwnego chłopca, którego trzeba chronić przed prawdą, bo jest za głupiutki, żeby się z nią zmierzyć i ją pojąć. Szlag! Z tej bezsilnej złości kopnąłem w kaloryfer, a on odpowiedział głuchym dźwiękiem. Szlag!

Młody, widząc, jak mną trzęsie, podszedł i oplótł mnie od tyłu rękoma, opierając podbródek na moim ramieniu.

– Hej, nie przejmuj się. Może to nawet lepiej, że kogoś ma. Przynajmniej się od ciebie trochę odczepi.

– A niech sobie ma – odparłem i zaciągnąłem się dymem z cygaretki. – Ja jej nie żałuję. Nigdy nie twierdziłem, że resztę życia powinna spędzić sama. Tylko że widzisz, jeśli tak wygląda sytuacja, to raczej nie dostanę po niej ani mieszkania, ani żadnego domu.

Ona mnie normalnie wydziedziczyła w białych rękawiczkach, rozumiesz?

– I co z tego? – Kamil udał, że wcale nie poczuł się rozczarowany. – Olej to. Masz już jedno mieszkanie. A domu przecież i tak nie chciałeś.

– Nie chciałem, ale strasznie mnie wkurwia to, że jak zwykle o niczym mi nie mówi, a potem stawia przed faktem dokonanym! – ujawniłem prawdziwy powód swojego wzburzenia, ledwo panując nad głosem. – Zamiast przedstawić sprawę jasno, rzuca mi jakieś strzępy, z których sam muszę sobie poskładać obrazek.

– O, fajnie powiedziane. Mogę to wykorzystać w piosence? – Młodemu spodobały się moje słowa. Trochę nie w porę, więc nie odpowiedziałem.

Chyba odebrał moje milczenie jako oznakę urazy. Westchnął, przytulił mnie mocniej i razem ze mną popatrzył na podwórko.

– Pamiętasz, jak prawie wypadłem przez to okno? – wspomniał.

– Jak dziś. – Wzdrygnąłem się.

– Przynajmniej zginąłbym szczęśliwy. – Roześmiał się.

– Tak, a ja może już za cztery lata zostałbym zwolniony za dobre sprawowanie – mruknąłem. Nie wiedzieć czemu, rozbawiło go to jeszcze bardziej.

Pamiętałem tamtą noc bardzo dobrze, chociaż wydarzyła się dawno temu. Byłem wtedy studentem na przedostatnim roku, a Kamil, do czego mi się skubany nie przyznał, dopiero co zdał maturę.

A ja się nie domyśliłem, że to taki młody gnojek, bo wyglądał dużo poważniej.

Po pełnej wrażeń imprezie w klubie, kiedy nie mieliśmy się gdzie podziać, bo wszystkie lokale na mieście już się zamykały, a nam trudno było się rozstać, przyszliśmy tutaj. Usiedliśmy na parapecie i popalaliśmy gandzię, obaj w wyśmienitych nastrojach, bo powodów do zadowolenia mieliśmy tamtego wieczoru wiele.

W pewnym momencie Młody, biorąc ode mnie lufkę, jakoś dziwnie się omsknął. Prawie mi serce stanęło. Wszystko się działo przed moimi oczyma jak w zwolnionym tempie: patrzyłem bezradnie na jego rękę ześlizgującą się z parapetu, ciało przechylające się niebezpiecznie daleko za krawędź okna, rozpaczliwy ruch, którym w ostatniej chwili złapał się za słupek, przerażenie na twarzy, kiedy zdał sobie sprawę, co się właśnie niemal stało. Szybko zleźliśmy z parapetu i usiedliśmy w najbezpieczniejszym możliwym miejscu, czyli na podłodze, a już po chwili, gdy ochłonęliśmy, nie mogliśmy opanować panicznego chichotu, który nas obu ogarnął.

Nie tylko z tego powodu zachowałem tak wyraziste wspomnienia. Wtedy po raz pierwszy popróbowaliśmy tego i owego z facetem. Trochę zdumiony tym, co robię, ale bardziej podekscytowany. Tak się skończył mój hetero świat, a zaczęła historia z Kamilem, chociaż po tej nocy na długo straciłem z nim kontakt i nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy, a co dopiero, że będziemy razem. W ogóle w najśmielszych przewidywaniach nie przypuszczałem, że po serii bliskich relacji z kobietami jeszcze kiedykolwiek związę się na

stałe z mężczyzną. Miałem nawet etap myślenia, że z „tego” wyrosłem. Ale życie lubi zaskakiwać.

Ze wspomnień wyrwało nas pukanie do drzwi. Po chwili, mimo braku zachęty z naszej strony, do pokoju wszedł Niko. Obaj równocześnie odwróciliśmy się w jego stronę, a on na nasz widok przystanął lekko speszony, tak jakbyśmy stali tam całkiem nadzy. Zaraz jednak się opamiętał.

– Można? Nie przeszkadzam?

– W czym? W patrzeniu przez okno? – zapytałem z ironią, wciąż obrażony na niego, na Vesnę i na cały świat. – Bynajmniej. Jak masz życzenie, możesz nawet dołączyć.

– A mogę bez przytulania? – Puścił do nas oczko.

Młody parsknął śmiechem. Chcąc nie chcąc, po chwili też się uśmiechnąłem. Breznik zawsze wiedział, jak rozluźnić atmosferę, nawet na egzaminach.

– Hm. – Odchrząknął, podchodząc bliżej. – To dzisiaj mamy dzień niespodzianek, co?

Przez uchylone drzwi wślizgnęła się Luna i od razu wskoczyła na łóżko. Zakręciła się kilka razy i klapnęła na materac, po czym umościła się wygodnie, wlepiając w nas oczy, jakby w oczekiwaniu na spektakl.

– Nie miej mamie za złe, że ci o nas nie powiedziała. – Niko, nie doczekawszy się odpowiedzi z naszej strony, postanowił mówić dalej. – Bardzo się obawiała twojej reakcji. Podobno bywasz... wybuchowy.

– Dlatego wyczekała moment, w którym bomba zdetonuje się sama? – prychnąłem.

– To było niezamierzone. Chcieliśmy ci o tym powiedzieć dzisiaj wspólnie, no ale, hm, nie wyszło. Zaskoczyliście nas pierwsi.

– Uśmiechnął się pojednawczo.

– Tak, bo w życiu Vesny wszystko musi być owiane tajemnicą. Ja nie wiem o tobie, ty nie wiesz o mnie, po co się dzielić czymkolwiek, lepiej wszystko zachować dla siebie.

– To było niezamierzone – powtórzył z naciskiem Niko, a kiedy prychnąłem, dodał tym samym tonem: – A tak w ogóle, to ja was bardzo proszę, nie stójcie w przeciagu.

Z niedowierzaniem prychnąłem jeszcze raz, odgasilem cygarstkę o parapet, wysunąłem się z objęć Młodego i zamykając okno, jednocześnie wskazałem ręką stojący w rogu pokoju fotel.

– Możemy chwilę porozmawiać? Mam parę pytań.

Niko lekko się zawahał, ale podszedł i usiadł.

– Hm. Naturalnie.

Ja zająłem miejsce na krześle, odwracając je oparciem do przodu, a Kamil walnął się na łóżko obok Luny i zaczął ją zaczepiać. Niko, nie czekając na moje pytania, sam się odezwał nieco nerwowo:

– Wiem, co możesz sobie myśleć, ale pojmiij: jesteśmy oboje już niemłodzi, wdowcy, z dala od ojczyzny...

– Spokojnie, nie mam nic przeciwko – wszedłem mu w środek zdania.

– Nie?

– Nie, dlaczego. Dobrze, że nie jest sama, we dwoje zawsze raźniej – odparłem. – Chciałbym tylko wiedzieć, co tak naprawdę planujecie. Matka mówi do mnie zagadkami, więc może ty wyjaśnisz mi wreszcie konkretnie, jak facet facetowi: co jest grane?

– Hm. – Poglądził dłonią siwą brodę. – Pozwól, że zwrócę twoją uwagę na pewną kwestię lingwistyczną. Facet pochodzi od łacińskiego *facetus* i znaczy dowcipny. Skojarz to sobie chociażby z faccją. Facetów tak samo nie zwykło się traktować serio. Więc jeśli chcemy porozmawiać poważnie, to może raczej jako mężczyźni.

Niewiarygodne. Ze wszystkich kwestii to właśnie tę uznał za najpilniejszą do wyjaśnienia. Pieprzeni językoznawcy.

Mój wzrok chyba dał mu do zrozumienia, co o tym sądzę, bo szybko się zreflektował i odnalazł właściwszy temat.

– Saszo, planujemy zamieszkać razem. Ale tego już się pewnie domyśliłeś...

– Owszem. Musiałem się domyślić, bo nikt nie raczył mnie poinformować wprost – mruknąłem. – Ale dlaczego na wsi?

– Możesz powiedzieć: na wsi, możesz powiedzieć: w lesie... – zaczął filozofować, ale nie dałem mu dokończyć. Mogę powiedzieć: na zadupiu, niczego to nie zmieni.

– Co to za wieś? I co was tam wywiało?

– Grotniki – odparł Breznik spokojnie, a Kamilowi wyrwał się cichy jęk zazdrości. – Taka wieś, nie wieś... Bardziej miejscowość letniskowa.

– Tak, wiem, co to Grotniki – warknąłem, na poważnie już wkurwiony. Kiedy ludzie się nauczą odpowiadać konkretnie na pytania?

Niko się nie przejął, tylko kontynuował.

– Moja żona miała w Grotnikach letni dom po rodzicach. Jeździliśmy tam na wakacje, a kiedy chłopcy dorosli, przerobiliśmy dom na całoroczny i przenieśliśmy się do niego z Agatą, żeby mieszkanie przekazać Miłoszowi. Nadal w nim mieszka z żoną i dziećmi. A ja kilka lat temu zostałem wdowcem i... – Tu przerwał na moment, a jego oczy trochę pociemniały. – Miło by było znowu mieć towarzystwo.

Zacisnąłem zęby. Chuj mnie obchodzi Miłosz, Agata i historia ich życia. Obchodzi mnie, dlaczego moja matka postradała rozum. Dlaczego chce zamieszkać w domku letniskowym, mieć tam kury, lamy, krokodyle, sam już nie wiem, czego ona chce, co planuje, co jej się roi w głowie.

– A nie prościej jest jednak żyć w mieście? – zasugerowałem. – Dlaczego nie możecie na stare lata oboje sprowadzić się tutaj?

Breznik odchrząknął tym razem dość głośno.

– Jest ku temu wiele powodów – odparł, obserwując mnie bacznie. – Długo omawialiśmy tę kwestię. Rozważaliśmy różne opcje, zamieszkanie tutaj również, a nawet, wyobraź sobie, wyjazd do Słowenii. Ale zapadła taka, a nie inna decyzja i dobrze by było, gdybyś to uszanował.

– Tak jak matka szanuje moje decyzje? – wysnęło mi się zgoła niepotrzebnie.

– Nie rozumiem.

– Nieważne. – Machnąłem ręką. – Obawiam się po prostu, że w pewnym momencie nie poradzicie sobie sami z utrzymaniem domu. I co wtedy?

– Wtedy rozważymy jeszcze raz inne opcje.

Słyszac to, nie dałem rady nie wyrócić oczami. Niko na ten widok cmoknął zniecierpliwiony.

– Saszo, może i mamy siwe włosy, ale starość, którą tak nam wypominasz, to nie tylko pokorne czekanie na koniec żywota – powiedział z naciskiem. – Ja mam ciągle sporo sił, a Vesna jest energiczną osobą. A poza tym od dawna marzyła o własnym domu. Spełnianie marzeń ludzi, których kochasz, jest warte pewnych poświęceń. Nie sądzisz?

– Poświęcenia mają swoje granice. I niekoniecznie trzeba ich wymagać także od ludzi wokół – burknąłem. – W tej chwili spełniamie sobie marzenia Vesny naszym kosztem.

– Jak to waszym kosztem? Co was to kosztuje? Trochę pomocy? Jeśli to was za bardzo obciąża, to nie pomagajcie.

– Nie chodzi o pomaganie! Chodzi o bezcelowość tego wszystkiego! – Poczułem, że jeszcze chwila i naprawdę puszcza mi nerwy. Dlaczego on mnie nie chce zrozumieć? I dlaczego odwraca kota ogonem? – Dzisiaj Vesna wynosi się do Grotnik, pozbywa się

wygodnego mieszkania, a za pięć, dziesięć lat będziemy was sprowadzać z powrotem – tylko wtedy nie wiem dokąd!

Breznik głęboko odetchnął i złożył dłonie w trójkąt.

– Bezcelowość, powiadasz. Hm. No dobrze. Wybacz, że się odwołam do waszego przykładu, ale pewnie spotykacie się z różnymi reakcjami na wasz związek...

– Daleko nawet nie trzeba szukać – skomentował Kamil pod nosem. Niko przerwał na moment i spojrzał uważnie, jakby coś zaczynało mu się klarować. Nie pociągnął jednak tematu, tylko wrócił do własnego wyводу.

– Gdyby ktoś zaczął was przekonywać, że postępujecie nierozważnie, bo związek dwóch mężczyzn jest z punktu widzenia biologii bezcelowy, to byście się z nim zgodzili?

Widziałem po Młodym, że już jest gotów wdać się w tę dyskusję, szykując własne, niejednokrotnie przytaczane argumenty, wśród których znaczenie homoseksualności wśród pingwinów stanowiło jego ulubiony, ale Breznik wcale nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej.

– Zakończylibyście to i poszli poszukać sobie żon, bo ktoś wam przytoczył jedno rzeczowe „przeciw” kontra tym wszystkim „za”, dla których ze sobą jesteście?

– Co to ma do rzeczy? – spytałem tylko pro forma, bo doskonale wiedziałem, do czego zmierza.

– Ano to, że czasami warto pójść za głosem serca. A rzeczy, których zdarza nam się nie rozumieć, niekoniecznie są z automatu głupie – podsumował Breznik.

Nie zdążyłem odpowiedzieć – zresztą nawet nie miałem dobrej riposty na jego bezsprzecznie mocny argument – bo do pokoju z furią wtargnęła Vesna.

– A tu co, męska narada? – zakpiła, racząc nas chłodnymi spojrzeniami. – Wy będziecie sobie dyskutować, a ja mam wszystko sama robić?

W tym momencie jej wzrok padł na Młodego i na wywaloną czterema łapami do góry, zadowoloną Lunę.

– No tak, a pies na łóżku! Ciekawa jestem, kto później będzie narzutę czyścił z kudłów! Mądrzy panowie są?

I wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Moja matka. Terrorystka.

* * *

W jednej kwestii Vesna się nie myliła: w mieszkaniu zostało po mnie całkiem sporo gratów. Pewnie dlatego, że wyprowadzałem się stamtąd w pośpiechu i zgarnąłem tylko to, co niezbędne. Po resztę już nie wróciłem, nigdy nie przywiązywałem się do rzeczy. Są, to są, nie ma – to nie ma. Jestem w stanie wyjść z domu w dowolnym momencie, tak jak stoję, i wszystko zostawić za sobą bez sentymentów.

Dlaczego ojciec nie wypierdolił tego mojego majdanu na śmietnik, dlaczego matka trzymała to wszystko jak relikwie – nie wiem. Pewnie po to, żeby zrobić mi prezent na czterdzieste urodziny, kiedy Vesna postanowi pozbyć się mieszkania, a mnie uszczęśliwi zaszczytem posprzątania po sobie i po niej. Zżymałem się na to, jednak z drugiej strony czułem pewien rodzaj zadowolenia z faktu, że możemy obaj się zamknąć w moim dawnym pokoju i mieć zajęcie na cały dzień bez wchodzenia w drogę matce. Nie byłem w stanie patrzeć na nią bez nerwów i chęci powiedzenia czegoś od serca, co mogłoby się skończyć jedynie awanturą.

Podszedłem do największego z regałów wchodzących w skład zestawu jakże niegdyś modnych mebli młodzieżowych i zacząłem sściągać z półek książki. Początkowo bez zainteresowania, traktując je jak starocie, które należy po prostu spakować w pudła i wynieść na śmietnik pod wiatę – może ktoś skorzysta – jednak w miarę jak w moje ręce wpadały kolejne tomy, zatrzymywałem się nad nimi na coraz dłuższe chwile. Zaglądałem do środka, uradowany znalezieniem kolejnej dawno zapomnianej perełki, i ani się obejrzałem, jak razem z Kamilem siedzieliśmy na dywanie, a ja czytałem na głos moje ulubione fragmenty i pokazywałem mu komiksy, które kiedyś namiętnie kolekcjonowałem. Przy okazji przypomniały mi się różne anegdotki z lat szkolnych, Kamil dorzucił swoje – i w pewnym momencie zrobiło nam się naprawdę wesoło.

Lekka melancholia dopadła mnie dla równowagi, kiedy w moje ręce wpadły książki przywiezione z Jugo. Dostałem pozwolenie na

trzy ulubione, przeszmuglowałem jeszcze dwie, zatknięte za pasek od spodni. Ojciec udał, że tego nie widzi, miał poważniejsze problemy. A ja przez godzinę sztywno siedziałem w zapakowanym po brzegi samochodzie, bojąc się głębiej odetchnąć, dopóki tata dziwnym, niepodobnym do niego głosem nie powiedział w końcu:

– Wyjmij już te książki z majtek. Przecież ci ich nie wyrzucę.

Teraz oglądałem te ocalałe z nieistniejącego świata tomiki jak relikwie, a kiedy przewracałem kartki, wyfruwały mi spośród nich zapachy, smaki, głosy, wrażenia całkiem inne niż tylko nadrukowane na papierze litery i ilustracje. Mój mózg wynajdywał dawno zapomniane ścieżki do wspomnień. Młody twierdzi, że widzi barwy dźwięków, czy tam na odwrót, słyszy kolory. W tym momencie nawet byłem to sobie w stanie wyobrazić.

Kiedy matka zajrzała do pokoju, by nas poprosić na obiad, podłoga była zasłana stertami książek, a my leżeliśmy wśród nich, każdy wciągnięty w swoją lekturę.

– Widzę, że dzieci dobrze się bawią. W tym tempie to ja nie dożyję przeprowadzki – skomentowała z przekąsem. – Chodźcie, ziemniaki dochodzą, kotlety już ciepłe, a tobie zaraz usmażę jajka.

– Spojrzała na Młodego ze źle ukrywaną niechęcią.

– Tylko ze ściętym żółtkiem poproszę – rzucił za nią, gdy już wychodziła. Burknęła coś pod nosem.

– Ty, a może to była groźba? – spytał Kamil szeptem, gdy matka zniknęła z powrotem w korytarzu, i zasłonił trzymanym w ręku komiczkiem swoje najczulsze miejsce. – Ja nie idę. Przynies mi jakiegoś kartofla.

Parsknęliśmy śmiechem. Kwestia zamiennika kotleta dla Młodego została ustalona już wcześniej. Matka nikogo nie jest w stanie nienawidzić tak bardzo, żeby go należycie nie nakarmić we własnym domu, ale jej zapowiedź rzeczywiście zabrzmiała teraz na wpół komicznie, na wpół jak groźba.

Mieliśmy z Kamilem plan zjeść obiad szybko i skutecznie, bez zbędnych słów, podziękować i wrócić do mojego pokoju, żeby nie prowokować niepotrzebnych spięć. Nasz prosty plan trochę się posypał, kiedy Niko, dowiedziawszy się od Vesny o zawalonej książkami podłodze w moim pokoju, zamiast okazać dezaprobatę, tak jak tego oczekiwała, zaczął o nie z zaciekawieniem wypytywać. Zagadywał nie tylko mnie, ale także Młodego, który nie bez oporów przyznał się w końcu, że żaden z niego czytelnik. Znał głównie adaptacje filmowe i fragmenty, które usłyszał ode mnie, bo już wcześniej często czytałem mu na głos, nie całe powieści rzecz jasna, ale jakieś krótsze rzeczy lub ciekawsze wyrywki.

– Czyli w ogóle po książki nie sięgasz? – zapytała matka, nie kryjąc pogardy. Ona, ta lepsza, co nie tylko czyta rosyjskich klasyków w oryginale, ale nawet wyklada literaturę na uniwersytecie.

– Nie, nie mam na to czasu – odparł Kamil, ujawniając tylko część prawdy. Ważniejszym powodem była jego dysleksja. Czytanie i pisanie sprawiały mu sporo trudu, więc naturalnie ich unikał. Ale zwierzyć się komukolwiek, a tym bardziej mojej surowo oceniającej go matce, ze swojej słabości – to zupełnie nie w jego stylu.

– No tak, piosenkarz pewnie ma mnóstwo obowiązków na co dzień. – Vesna, wyraźnie rozdrażniona faktem, że Niko właśnie zawiązuje sojusz z jej największym wrogiem, przeszła samą siebie. Myślałem, że ją zaraz kopnę, i z podziwem obserwowałem Kamila, któremu owszem drgnął mięsień w policzku, ale ze stoickim spokojem sprostował:

– Jestem nie tylko muzykiem – podkreślił to słowo, zwalniając nieco tempo mówienia, żeby zdążyła zrozumieć – ale także producentem i wykładowcą. Więc tak, mam sporo zobowiązań.

– Muzykiem? – zainteresował się Niko.

– Wykładowcą? – w tym samym momencie powtórzyła zdumiona matka, a jej ręka z widelcem zatrzymała się w pół drogi do ust. Uśmiechnąłem się pod nosem, widząc jej minę. Tego to się po nim nie spodziewała.

– Tak. I producentem – uzupełnił Kamil z właściwą sobie skrupulatnością.

– A co wykładasz?

– Teorię strun – zażartował. Jednak ponieważ tylko ja razem z nim się zaśmiałem, zaraz dodał: – A tak serio, podstawy teoretyczne muzyki i analizę dzieła.

Matka nic nie odpowiedziała. Nie wiem, czy po tym żarciku pomyślała, że Młody ją wkręca, czy poczuła się urażona, a może jednak – chciałbym – zrobiło jej się wreszcie trochę głupio, że tak łatwo oceniła kogoś po pozorach. Do końca obiadu już niemal wcale się nie odzywała. Za to szczerze zaciekawiony Niko wciągnął się z Młodym w dyskusję o muzyce.

– To na jakim grasz instrumencie? – wypytywał. Kamil figlar-
nie zerknął mi w oczy i już czułem, że zaraz wyskoczy z jakimś
fletem piccolo, ale się opanował i poważnie odpowiedział:

– Na wielu różnych. A tak na co dzień to na gitarze.

– Klasycznej?

– Głównie na elektrycznej.

– Hm, ale w jakimś zespole? Mogłem gdzieś usłyszeć twoją
muzykę?

– Tak, mój zespół to Motherless. Kojarzysz coś?

– Motherless? Ależ kojarzę doskonale! – Breznik entuzjastycz-
nie uderzył dłońmi w uda, a twarz Kamila momentalnie pojaśniała.

– *Son of Spring!* Świetna piosenka, kiedyś na okrągło słuchałem jej
w aucie.

– A dziękuję, miło wiedzieć.

– A to jest utwór twojego autorstwa czy wspólne dzieło?

– Ten akurat jest mój. Miałem dobrą inspirację. – Młody, nie
kryjąc zadowolenia, trącił mnie pod stołem kolaniem.

– No, no... W takim razie chylę czoła przed talentem. Vesno, pamiętasz to? – Niko zanucił kawałek melodii. – Puszczalem ci. Tobie chyba też się podobało, hm?

– Nieszczęśliwie. – Matka z furją odkroiła kolejny kawałek kołteta. – Nie przepadam za tą nowofalową muzyką.

– Naprawdę? – Młody zmarszczył czoło. – Zdawało mi się w pewnym momencie, że puszczaście sobie Ekaterinę Veliką. To nie była nowa fala Jugosławii?

– To co innego – burknęła Vesna, coraz bardziej wściekła. Kamil zdecydowanie za dużo sobie pozwalał. Nie tylko istniał na tym samym świecie co ona, ale na domiar złego miał czelność śmiało się wypowiadać na temat kultury Jugo. Żeby sobie przypomnieć, gdzie jego miejsce (na pewno nie przy jej stole), rzuciła pogardliwe spojrzenie jego manewrom ze sztucami. Po każdym ruchu nożem przekładał widelec z ręki do ręki, bo lewą nigdy się nie nauczył celnie trafiać do ust.

– Potrzebujesz pomocy? Może ja ci pokroję? – zapytała złośliwie.

– Dziękuję, poradzę sobie – warknął, zawstydzony, że to zauważyła.

– Kamilu, a skąd się wzięła nazwa Motherless? – zainteresował się Niko, po raz kolejny próbując sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory. Tym razem jednak wybrał bocznicę prowadzącą na kolczaste manowce. – Wiesz, ja jako nawiedzony językoznawca

wierzę w to, że słowa mają moc kreowania rzeczywistości i nieraz się zastanawiałem... Motherless? Dlaczego?

– Nie pamiętam. Ktoś coś palnął i tak już zostało – odparł Młody na pozór obojętnie. Breznik jednak nie jest głupi i w dodatku lubi analizować znaczenie słów. Przez chwilę patrzył na niego uważnie, jakby czekał na dalsze wyjaśnienia, a potem zerknął na mnie, by bezgłośnie się upewnić, że nie należy zadawać więcej pytań. Nieznacznie poruszyłem głowę. Zrozumiał, a wyraz jego twarzy się zmienił.

– Zatem poznałem autora *Son of Spring*. A to dopiero – podsumował, by zakończyć temat. – Posłuchajmy tego po obiedzie, koniecznie. Już mi chodzi po głowie.

Po jego minie można było jednak poznać, że myślami odpłynął całkiem gdzie indziej. Nazwa zespołu Młodego najwyraźniej sama powiedziała mu o czymś, o czym Młody nie chciał.

* * *

Kamil to człowiek pełen skrajności. Trochę jak ja, ale na inne sposoby. Jednym z jego paradoksów jest to, że czasami niewerbalnie wręcz krzyczy o rzeczach, o których nie ma ochoty mówić. Nazwa jego zespołu stanowi najlepszy przykład. Wcześniejszą grupę, tę, którą założył jeszcze w czasach liceum, nazwał Orphan Star. Wtedy twierdził, że zainspirował go tytuł książki. Młodego, który książek praktycznie nie czyta. Ale ludzie mu wierzyli, bo czemu nie. Ja też uwierzyłem. A o tę drugą nazwę nawet nie zapytałem.

Zresztą mało kto pyta, nie każdy jest tak odważny jak Breznik. Ludzie chyba podskórnie wyczuwają, że stoi za tym grubsza historia, o której niekoniecznie chcą wiedzieć.

Pierwszy raz Kamil wspomniiał mi o swojej matce, kiedy po ponad dwóch miesiącach rozłąki byliśmy znowu razem. To znaczy po naszym drugim zerwaniu, w sumie mieliśmy ich trzy. A każde ostateczne i definitywne, jeszcze bardziej niż to poprzednie. Ponoć do trzech razy sztuka, my jednak daliśmy sobie kolejną szansę, a raczej została nam dana. Młody się nawet nie domyśla, u kogo ma w związku z tym dług wdzięczności.

Tak, nasze początki nie były łatwe. Sam mam pewne obawy związane z bliskością i wyłącznością, ale kiedy zobaczyłem, co on wyczynia, to było dla mnie jak kubeł zimnej wody wylanej na głowę. Zachowywał się jak dziecko, które chce jogurcik, już, natychmiast, i właśnie ten, nie żaden inny, a kiedy już go dostanie, z wielką ekscytacją zje jedną łyżeczkę, by zaraz zacząć wybrzydzać albo bawić się jedzeniem, malując palcami wzory na stole. Ale spróbuj mu zabrać ten pieprzony jogurcik, skoro nie je. W jednej chwili stanie się z powrotem czymś, czego rozwydrzony gówniak chce najbardziej na świecie. Widziałem taką akcję i podziwiam ludzi, którzy potrafią utrzymać wtedy nerwy na wodzy. Ja bym nie potrafił.

Dla Kamila wywróciłem całe swoje życie do góry nogami, żeby po trzech miesiącach usłyszeć:

– Sasza, nie dam sobie rady z twoim ChADem. Sorry.

Przeczuwałem takie zakończenie już od jakiegoś czasu, więc poszedłem dalej swoją drogą. Spotkałem kogoś z przeszłości, to znaczy Milenę, odezwała się dawna fascynacja, nie wahałem się ani chwili. Było nam fajnie razem, bo laska jest prawie tak samo popieprzona jak ja, chociaż po trzydziestce postanowiła udawać normalną. Zdecydowałem, że o Młodym trzeba jak najszybciej zapamiętać. I prawie mi się udało, gdy pewnego dnia na komórce zobaczyłem nieodebrane połączenie od niego.

Sam nie wiem dlaczego, zamiast je zignorować, oddzwoniłem w pierwszej wolnej chwili.

– Mówiłem ci, że masz do mnie więcej nie dzwonić! – rzuciłem na powitanie, kiedy usłyszałem jego „Halo?”.

– Przepraszam, wybrałem zły numer – odparł Kamil jakoś tak dziwnie, bez tej swojej typowej arogancji.

– To może po prostu usuń mój numer! Nie będziesz go już potrzebował! – Wkurwiony, miałem zamiar natychmiast się rozłączyć, ale tylko spojrzałem na telefon i... się zawiesiłem.

– Sasza? – usłyszałem po chwili. – Jesteś tam jeszcze?

Powoli przyłożyłem smartfon z powrotem do ucha. Nie mówiłem nic, ale moje wahanie było chyba słyszalne.

– Chcesz się spotkać? – zapytał Kamil. Chwilę czekał na odpowiedź, w końcu dodał: – Jeśli tak, to... bądź u mnie o dziewiętnastej.

Nie wiem czemu wszystkie słowa, które chciałem mu wykrzy-
czeć w złości, zostawały we mnie, napotykać niewidoczną gra-
nicę. Jakby odbijały się od ściany mojej wolnej woli.

– Jak nie przyjdiesz, to obiecuję, że już nigdy więcej nie za-
dzwonię – dodał i z tego wszystkiego to on rozłączył się pierwszy,
pozostawiając mnie z niejasnym poczuciem, że znowu dałem mu
się podejść.

Do siedemnastej nosiłem w sobie niezłomną decyzję, że nawet
nie ma mowy, bym się z nim spotkał. Pięć po zadzwoniłem do Mi-
leny, sam jeszcze nie wiedząc, dlaczego to robię.

– Cześć, kochanie. Klient mnie udupił na cały wieczór, nie dam
rady dzisiaj do ciebie przyjechać – skłamało mi się gładko. Miałem
wrażenie, że to nie ja wymawiam te słowa, że jestem tylko obser-
watorem albo pacynką w czyichś rękach.

Równo o dziewiętnastej stanąłem w progu mieszkania Kamila.
Przeżywałem silne *déjà vu*, ekscytację pomieszaną z poczuciem
winy, złość na siebie samego, że znowu się w to pakuję na własne
życzenie. „Tylko raz”, powtarzałem sobie w myślach tak samo jak
za pierwszym razem. „Tylko raz”. Albo wmawiałem sobie, że pro-
pozycja spotkania nie musi być równoznaczna z propozycją seksu.
Łączyło nas przecież coś o wiele więcej niż fizyczna fascynacja,
może po prostu zostaniemy przyjaciółmi? To był mimo wszystko
świetny facet, cieszyłbym się, gdybyśmy mogli zostać przyja-
ciółmi.

Wydaje mi się, że mogłem w to wierzyć nawet wtedy, gdy już po wszystkim leżeliśmy obok siebie w łóżku, zdyszani jak po maratonie.

– Chcę cię z powrotem – odezwał się, kiedy nasze oddechy już nieco ucichły.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na niego.

– Słucham?

– Chcę cię z powrotem – powtórzył, niezrażony moim kpiącym uśmiechem.

– Ty chyba sobie żartujesz? – W tym momencie dotarło do mnie, jakie zrobiłem głupstwo, przyjeżdżając. Nie uczę się na własnych błędach, ani trochę. – Mam do ciebie wrócić? Żebyś za trzy miesiące znowu sobie przypomniał, że przeszkadza ci mój ChAD? Nie ma takiej opcji!

– Sasza. – Kamil usiadł tak, by móc patrzeć mi w oczy. – Nie zrobię tego. Spanikowałem wtedy, ale teraz już wiem więcej na ten temat. Poza tym... – dodał szybko, kiedy też usiadłem, nie kryjąc wzburzenia, i sięgnąłem po swoje ubrania. – Tak naprawdę to nie chodziło o ciebie ani o afektywną. Chodziło o mnie.

Z jedną ręką już w rękawie T-shirta znieruchomiałem na chwilę. Niemożliwe. Kamil Drejer ma zamiar się do czegoś przyznać? Wziąć coś na siebie? Albo ktoś go podmienił, albo sprawa jest poważna.

– To znaczy? – zachęciłem go, żeby mówił dalej, bo się zaciął.

– To znaczy, że...

Nie doczekawszy się puenty, do końca włożyłem na siebie koszulkę i wstałem.

– Sasza. – W jego oczach pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałem. – Zaczekaj. Daj mi to powiedzieć, proszę.

– To mów, bo nie mam czasu – wypaliłem. Jeszcze kilka razy zbierał się do mówienia, zanim wreszcie wyznał:

– Zacząłem terapię, tak jak mi sugerowałeś. Miałaś rację, potrzebuję tego.

– O. – Przerwałem ubieranie się i popatrzyłem na niego z nadzieją. Byłem pod wrażeniem. Wcześniej wydawał się nieprzejednany w kwestii terapii, przekonany, że swoje problemy sam potrafi rozwiązać najlepiej. Nie umiał. Tylko tego nie widział. Ale coś się najwyraźniej zmieniło i nie mogłem tego zbagatelizować.

– I jak? – spytałem go o wrażenia.

– I uświadomiłem sobie, że mam... pewne problemy z bliskością – wydukał. – Z zaangażowaniem się... Mam w sobie... No mówiąc wprost, zajębiście się tego boję.

To zabrzmiało znajomo. Całkiem jakbym sam wymawiał te słowa. Zaskoczony, ale i poruszony, usiadłem na skraju łóżka.

– No i? – zapytałem, bo nic mądrzejszego na poczekaniu nie wymyśliłem.

– Kiedy zrozumiałem, że... Że zaczynam czuć coś, nad czym nie mam kontroli... – mówił cicho i niewyraźnie, zupełnie inaczej niż zwykle. Nie musiał jednak nawet kończyć, wiedziałem, co chce

powiedzieć, i czułem to samo. Postanowiłem go już dłużej nie torturować.

– Chodź tu. – Wyciągnąłem ręce i razem, objęci, opadliśmy z powrotem na poduszki. Pogląskałem go po długich, miękko układających się włosach. Uwielbiałem ich zapach, tak samo jak zapach jego skóry. – Rozumiem cię. Ja też się tego boję.

– Serio? – Był w tym momencie jak mały chłopiec, który przyznaje się do wielkiej winy, nie wiedząc nawet, że w istocie nie zrobił nic złego.

– Serio. Diabelnie się boję. Dlatego często w związkach sam sobie stwarzam problemy, żeby mnie nie zaskoczyły te, których nie zaplanowałem.

– Ja pierdzieć, mam tak samo – szepnął zdumiony i rozmyślał przez chwilę nad moimi słowami. Potem zapytał: – A masz pojęcie, skąd ci się to wzięło?

Odetchnąłem głęboko. Minęło wiele lat, ale ciągle nie wracało mi się łatwo do tego zwrotu akcji w moim życiorysie. Na co dzień udawałem, że to już bez znaczenia, bo musiałem. Mówiłem o tym, jakby przydarzyło się komuś innemu. Ale raz na jakiś czas przypominałem sobie, że to jednak byłem ja. I to był ten właściwy moment.

– Tak. Głównie przez wojnę w Jugo. Przez to, że straciłem swój dom i nigdy nie mogłem do niego wrócić. Cała reszta była już tylko tego konsekwencją.

Przez chwilę w ciszy analizował moje słowa.

– Tęsknisz za Jugosławią?

Zastanowiłem się. To, co czułem, nie dawało się tak łatwo nazwać jednym słowem.

– Mam poczucie wyrwy, której nic mi nigdy nie zapełni – wyznałem w końcu. – I tego, że moje życie jest w całości nieprawdziwe, tamto zostało mi odebrane. I jeszcze – dodałem po namyśle – głęboko tkwiące przekonanie, że wszystko, co kocham, muszę stracić, i nic nie mogę na to poradzić.

– A czy ty mnie... – zaczął, ale ewidentnie zabrakło mu odwagi, by dokończyć to pytanie. Jednak nietrudno było dopowiedzieć sobie resztę.

– No, tak. Myślisz, że dlaczego tu jestem? – odpowiedziałem. Jego źrenice się rozszerzyły. Moje chyba też.

Po tym nie mówiliśmy nic przez dobre kilka minut, a ta cisza była bardziej wymowna niż jakiegokolwiek słowa. Kiedy już wybrzmiała, uznałem, że teraz jego kolej.

– No a ty? Dlaczego się tego boisz?

– Nie chcę o tym mówić – próbował się wymigać, ale go docisnąłem:

– No weź, tak się nie robi. Ja ci powiedziałem.

Kamil z westchnieniem usiadł, napił się z odstawionego na parapet kubka kilku łyków wystygniętej już herbaty, pocudował jeszcze chwilę, żeby odwlec w czasie moment prawdy. Pooglądał własne dłonie, jak gdyby nie widział ich od stu lat, pomacał twarde odstrun opuszki i wmasował w nie krem do rąk, sprawdził, czy stopy

też ma nadal na miejscu i czy nic się w ich sprawie nie zmieniło, to znaczy nadal są nie takie, jak by chciał. Nie był zadowolony z ich miękkich, zaokrąglonych kształtów, twierdził, że w swojej delikatności są – teraz uwaga – pedalskie.

– Co jest takie straszne, że nie możesz tego z siebie wydusić? – zniecierpliwiłem się w końcu. – Coś gorszego niż wojna, która zabrała ci ojczyznę?

– Oceń sam – odparł, nagle najeżony, i patrząc mi prosto w oczy, powiedział słowa, których nie zapomnę, ani jego wyrazu twarzy, ani tego, co było potem: – Kiedy miałem pięć lat, a Remi dwanaście, nasza matka uznała, że nie jesteśmy jej potrzebni do szczęścia.

– Co? – Podniosłem się i usiadłem naprzeciwko Kamila, nie do końca rozumiejąc, co chce mi przekazać. – To znaczy co zrobiła? O czym ty mówisz?

– O tym, że zabrała swoje rzeczy i zniknęła z domu. Na zawsze.

Musiałem nie oddychać przez kilka ładnych chwil, bo kiedy wypuściłem z płuc powietrze i wziąłem kolejny wdech, aż zakręciło mi się w głowie.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego Motherless został nazwany tak, a nie inaczej.

Dlaczego nigdy wcześniej nie zapytałem? Przecież wiem doskonale, co to słowo znaczy.

Pozbawiony matki. Bezmatczyny? Matki bez?

Kto wybiera taką nazwę dla swojego zespołu i z jakiego powodu? Bo fajnie brzmi?

Nie, bo w dzieciństwie został pozbawiony matki. Przez nią samą. Nie zdecydował ślepy los, to był jej wybór. Musi boleć podwójnie.

Jak zapełnić taką wyrwę w sercu? Jak zaufać komukolwiek, odważyć się na miłość, gdy na samym starcie ta, która miała być gwarantowana, została odebrana nie prawami natury, ale z woli jej dysponentki?

Myślę, że to dlatego Młody w pewien sposób na zawsze pozostał pięcioletnim chłopcem. Został uwięziony w tamtym wspomnieniu, przyszpilony do tamtego bólu, czas się dla niego zatrzymał, zamarzył we wbity w serce sople. I nawet teraz, jako dorosły mężczyzna, który odniósł sukces, ukształtował swoją rzeczywistość tak, jak to sobie wymarzył, wciąż odczuwa ten brak, niemożliwy do zrekompensowania, i to zapewne o wiele bardziej dotkliwie, niż ja odczuwam brak Jugosławii. Ja mam w tym miejscu koślawo przyłataną Polskę, on nie ma nic.

Kiedy mi o tym powiedział, zamknął się w sobie na dobre. Nigdy wcześniej nie widziałem go takiego. Wyglądało to, jakby schował się głęboko w muszli, jak ślimak, który nieopatrznie zranił się w czułki. Moją reakcją, którą najpierw był szok, a potem przyptyw zrozumienia i nowej dla mnie samego tkliwej empatii, zinterpretował całkiem na odwrót.

– Zostaw mnie – warczał, uciekając przed dotykiem. – Nie chcę twojej litości. Nienawidzę litości.

– Kamil, to nie jest żadna litość – próbowałem go przekonać, ale w odpowiedzi słyszałem tylko na okrągło:

– Zostaw mnie.

– Mam sobie iść? – spytałem w końcu, wyczerpany bezcelowością moich starań.

– Tak.

– Ale mówiłeś, że chcesz mnie z powrotem – przypomniałem.

– Ale ty nie chciałeś. I ja też już nie chcę. I tak mnie kiedyś opuścisz, jak wszyscy.

Młody lubi przesadzać. Wszyscy, zawsze, nigdy, nienawidzę – to słowa, które słyszy się od niego co krok.

Zostałem z nim wtedy na noc. Uznałem, że w tym stanie ducha nie powinien przebywać w samotności, chociaż on twierdził, że to jest właśnie to, czego sobie życzy. Ale nie ze mną te numery. „Chcę zostać sam” – to jedno z najczęściej powtarzanych kłamstw świata.

Obudził się na chwilę koło czwartej, kiedy ja właśnie też nie spałem, i wtedy dał mi jeden z najważniejszych kluczy do swojego wnętrza. Mówiąc półgłosem, ni to do mnie, ni do siebie, wyznał:

– Kiedy porzuca cię matka, to zostawia po sobie na pamiątkę szczególny rodzaj wstydu. Nie byłem dość ważny dla niej, więc kim ja jestem? Przez całe życie nieustannie sobie udowadniam, że

jednak coś znaczą... I próbuję uwierzyć, że komuś naprawdę może na mnie zależeć.

I z cichym westchnieniem zasnął z powrotem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Znowu zostałem sam ze swoimi myślami, dumając nad tym, jak powinienem zachować się rano. Pociągnąć temat? Udawać, że go nie było?

Tymczasem Kamil na drugi dzień sprawiał wrażenie, jakby o niczym nie pamiętał.

– Fajnie, że jesteś. Nigdzie się nie wybierasz, prawda? – rzucił beztrzesko, a ja tylko westchnąłem w duchu na myśl, że będę musiał jakoś się wytłumaczyć Milenie.

Zrozumiałem, że to, co mi się wydawało już wcześniej, a co brałem za nieuleczalny romantyzm, to jednak prawda – z nikim nie odnajdę takiego pokrewieństwa dusz, jak z nim. Zrozumiałem też, że choćbym nawet bardzo tego nie chciał, oszukiwał samego siebie i szukał zapomnienia we wszystkich zakątkach na Ziemi i we wszystkich ramionach płci obojga – to właśnie jego Kocham. I ilekroć kiwnie palcem, to ja przyjdę, zdradzając z nim moje kolejne partnerki, tak jak to się przydarzyło z Ingą, Olą i Mileną.

No i że do tematu jego matki powrócimy nieprędko, jeśli w ogóle.

* * *

– Motherless. *Son of Spring*. Numer cztery... – Niko mamrotał pod nosem sam do siebie, wyszukując ulubiony utwór. Po obiedzie

specjalnie zszedł do auta, żeby przynieść płytę, a do jej odsłuchania posłużyła nam moja stara wieża, która wciąż działała, mimo że już kilka lat temu osiągnęła pełnoletniość, podobnie jak ja, kiedy dostałem ją w prezencie od rodziców.

– To co, zatańczymy? – Wyciągnął ręce do mojej matki, kiedy z głośników popłynęły pierwsze dźwięki chwytliwego riffu. – Można panią prosić?

– Daj mi święty spokój – wywinęła się i poszła sobie, obrażona na Breznika, na Kamila, jego piosenkę i w ogóle na cały męski świat ze mną na samym czele.

Niedługo później Niko pojechał do domu. Myślałem, że spokojnie dokończymy sobie przynajmniej sprawę z książkami, zanim zabierzemy się za płyty, kasety i inne skarby odkopane z czasów mojej pierwszej młodości, ale do pokoju wtargnęła Vesna i bez cienia żenady zaczęła mnie opieprzać po chorwacku.

– Co ty sobie wyobrażasz? Nie przyszło ci do głowy, żeby to ze mną ustalić? Przychodzisz sobie z nim jak gdyby nigdy nic, a ja mam za ciebie potem świecić oczami? Czy ty nie masz za grosz wstydu?

Rzuciłem matce przeciągłe spojrzenie i już miałem jej coś odpowiedzieć, ale nie zdążyłem, bo Kamil z nosem w kolejnym ulubionym komiksie powtórzył zniecka, jakby mimowolnie, komically przedrzeźniając jej intonację:

– ...*nimalo srama?*

Parsknąłem śmiechem, a Vesna na chwilę zaniemówiła, po czym wydała z siebie okrzyk oburzenia i wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Szlag, no i znowu będę musiał ją przeproszać za nie swoje przewinienia.

– Przegiąłeś – upomniałem Młodego, ale on tylko wzruszył ramionami, równie ubawiony jak ja.

– Przynajmniej nauczyłem się czegoś po serbsku – odparł bez troski. – Tylko jeszcze nie wiem czego.

– *Zar nemaš nimalo srama?* – powtórzyłem całe zdanie i przetłumaczyłem mu je: – Czy ty w ogóle nie masz wstydu? A tak gwoli ścisłości, matka rozmawia ze mną po chorwacku – dodałem, podnosząc się z podłogi i kierując do drzwi.

– A tak, mówiłeś mi – przypomniał sobie. – Ale właściwie dlaczego? Skoro jesteście Serbami? – zatrzymał mnie pytaniem, na które nie było krótkiej i prostej odpowiedzi, tak samo jak na wiele pytań dotyczącej byłej Jugosławii, naszego etnicznego pochodzenia i języków, którymi się posługujemy, wraz z ich dialektami i poddialektami.

– To ona jest Serbką. Poniekąd. Z pochodzenia. Ale studiowała w Zagrzebiu i tam mnie urodziła – uprosiłem, jak tylko mogłem. – A teraz wybaczone, ale muszę do niej iść i wyjaśnić, że to przez twój wyjątkowy słuch muzyczny czasami bezwiednie naśladujesz randomowe dźwięki.

Rzeczywiście tak robił. Jednak wcale nie byłem przekonany, że i tym razem to był przypadek, a nie celowe złośliwe przedrzeźnianie. Tym bardziej, że popatrzył na mnie figlarnie i z niewinną miną zapytał:

– *Nimalo srama?*

Vesna stała przy oknie w kuchni, paląc papierosa. Na ten widok poczułem lekki wyrzut sumienia. Dawno jej nie widziałem z papierosem. Kiedyś paliła dużo, twierdząc, że nie ma zamiaru z tego rezygnować, bo zwyczajnie lubi zaciągnąć się dymkiem i mieć czasami chwilę tylko dla siebie. Potem jednak rzuciła, kiedy wyniki jakichś badań postraszyły ją rakiem. Nawet nie wiedziałem, kiedy zaczęła z powrotem jarać. Jak ojciec się wyprowadził? A może gdy zmarł? No i była też taka opcja, że to przeze mnie i wielkie nadzieje, których nie spełniłem.

– Poczęstujesz mnie? – zapytałem, podchodząc. Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nie.

Aha. Więc chyba jednak przeze mnie.

– To nie – burknąłem, wyjmując z kieszeni własne cygaretki. – Łaski bez.

– Dobrze się bawicie? – Spojrzała na mnie wyzywająco. – A szczególnie ten twój... eh. – Machnęła ręką.

– Może próbował delikatnie zasugerować, że go wyklucasz z rozmowy – podsunąłem. – Mówienie przy kimś w języku, którego nie rozumie, jest słabe, nie sądzisz?

– No, chwila. Ja jestem u siebie w domu. To on jest gościem, do tego nieproszonym – uparcie brnęła w swoje racje. – A wiesz, jak się mówi na nieproszonego gościa? Intruz. Nie muszę mu się tłumaczyć z tego, że we własnym domu posługuję się ojczystym językiem.

– Jak uważasz. Skoro tak chcesz się prezentować gościom we własnym domu – podkreśliłem to z ironią – droga wolna.

– Sasza, ja go tu nie zapraszałam – powtórzyła dobitnie. – Jeśli chcesz mieć do kogoś pretensje, miej je do siebie.

No jasne, wszystko moja wina, matka nie ma sobie nic do zarzucenia. Pstryknąłem zapalniczką i zbliżyłem płomień do filtra. Na szczęście zorientowałem się w ostatniej chwili i przelożyłem trzymaną w ustach cygaretkę we właściwą stronę.

Ponieważ poruszony temat wyraźnie prowadził nas donikąd, spróbowałem przekierować rozmowę na inny tor.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że się spotykasz z Breznikiem?
– zagadnąłem, wypuszczając z ust chmurę dymu.

– A czemu ty z własnej woli rezygnujesz z normalnego życia?
– Natychmiast odbiła piłeczkę.

– To jest najnormalniejsze życie, jakie miałem od lat! – zachnąłem się. Odpowiedziała mi krótkim, sarkastycznym śmiechkiem.

– W takim razie może to ja jestem nienormalna.

– Mamo, przecież dobrze wiesz, że miłość nie wybiera. Wyszłaś za Polaka, nie za Jugola, tak? – sięgnąłem po bardziej rzeczowy argument. – Zrobiłaś to wbrew twojemu ojcu, tak? Sama mi mówiłaś.

– Nie używaj, proszę, słowa Jugol. A już broń cię panie Boże przy Niku.

– To jest wszystko, co usłyszałaś z mojej wypowiedzi? – powiedziałem już trochę za głośno. Matka przewróciła oczami.

– Nie krzycz na mnie. I wiesz co, może i miałbyś trochę racji, gdybym wyszła nie za Polaka, tylko na przykład, no nie wiem, za słońca.

Ręce mi opadły. Staram się tu jak mogę, żeby chociaż przez chwilę pociągnąć konstruktywny dialog, ale wszystko na nic. Chwilami miałem wrażenie, że mówimy w dwóch różnych językach i nie rozumiemy się nawzajem.

– Już każda nasza rozmowa będzie w ten sposób wyglądać? – spytałem z rezygnacją.

– A tego nie wiem. – Obojętnie poruszyła ramieniem i wsunęła papieros między wargi. – To od ciebie zależy.

– Ode mnie czy od tego, z kim żyję?

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę, zapatrzona na widok za oknem. Widok jak widok, od trzydziestu lat niewiele się tam zmieniło, ale matka wyglądała, jakby ją zahipnotyzował.

– Ja chcę tylko twojego szczęścia, Saszka – odezwała się w końcu nieco spokojniejszym głosem.

– Mamo, ale ja jestem szczęśliwy. Naprawdę. Z nikim nie byłem szczęśliwszy.

Vesna pokręciła głową.

– Tak ci się tylko zdaje. Zabawa to nie to samo co szczęście.

– Zabawa? – powtórzyłem. – To jest najpoważniejszy związek w moim życiu, mamo.

Wydęła wargi.

– Tak, właśnie widzę. Głupoty wam tylko w głowie. Kiedyś nie byłeś taki.

– Jaki? Wesoły i zadowolony? – Zaczęła mnie podkurwiać ta jałowa dyskusja.

– Nie. Ślepy na to, że brniesz w jakiś nonsens.

– Mamo, sama podjęłaś absurdalną decyzję o wyprowadzce na wieś, a mnie zarzucasz nonsens? Tylko dlatego, że zamiast dziewczyny mam chłopaka?

– Raczej zamiast żony. – Spojrzała na mnie wymownie. – Sassa, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi, kiedy prawie czterdziestoletni mężczyzna mówi o kimś: mój chłopak? To ma być poważne?

Popatrzyłem na nią z rezygnacją. Naprawdę będziemy w to szli?

– Jeśli to jest dla ciebie kwestia nomenklatury, to mogę o nim mówić mąż – podsunąłem, całkiem serio. Bo w sumie, czemu nie? Może i nie braliśmy ślubu, ale żyliśmy ze sobą jak każde małżeństwo, biorąc na siebie prozę codziennego życia, by od czasu do

czasu przeżyć chwile jak w bajce, a na naszych serdecznych palcach widniały jednakowe obrączki z czarnego wolframu.

– Wiesz co? – W głosie Vesny zabrzmiało święte oburzenie. – Ty to w niczym nie znasz umiaru. Wszystko jest dla ciebie żartem. Nawet z rodziny się wyśmiewasz, ale zobaczysz, jeszcze kiedyś nad sobą zapłaczesz.

Zrozumiałem, że nic dobrego z tej rozmowy nie wyniknie. Dopaliłem w milczeniu cygaretkę i wróciłem do swojego dawnego pokoju. Kamil spojrzał na moją minę i momentalnie zdecydował:

– Okej. Przedawkowałeś. Idziemy do domu.

Wyczułem, że mój sprzeciw nic tu nie da. I nawet nie chciałem się sprzeciwiać. Sprawa wydała mi się beznadziejna bardziej niż kiedykolwiek.

Kiedy już staliśmy przed drzwiami, gotowi do wyjścia, matka zapytała, oczywiście celowo używając liczby pojedynczej:

– To kiedy znowu przyjdziesz?

Już miałem na końcu języka odpowiedź: nigdy, zatrudnij sobie ekipę, chuj mnie to wszystko obchodzi. Ale Młody na szczęście mnie ubiegł, rzucając beztrosko:

– Wtedy, kiedy Sasza.

Głośno zatrzaskała za nami drzwi, dając wyraźnie do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzi.

Od matki do nas mieliśmy jakieś dziesięć, może piętnaście minut spacerkiem, więc przyszedliśmy pieszo i wracaliśmy też per pedes. Trochę żałowałem, że jednak nie wzięliśmy auta, bo moglibyśmy zabrać karton z komiksami, które z sentymentu i za namową Młodego postanowiłem jednak zatrzymać, ale machnąłem na to ręką. Niech sobie na razie leżą w moim dawnym pokoju, przeleżały tyle lat, to kilka dni nas nie zbawi, a przynajmniej nie będziemy się o nie potykać we własnym niedużym M3.

Żałowałem też innych rzeczy. Na przykład tego, że matka po raz kolejny pozbawiła mnie złudzeń. Sam się o to prosiłem, co prawda, po cholere szedłem do niej z Kamilem, przecież mogłem przewidzieć taki finał. Młody jakoś wciąż nie był ideałem synowej. Sam nie wiem, czemu...? Może miał za niski głos? Albo zbyt niewybredne poczucie humoru? Czymś ją drażnił, ale czym...?

Nieraz sobie tak śmieszkowaliśmy, ale tamtego dnia nie było mi do śmiechu. Było mi zwyczajnie smutno. Nie oczekiwałem od matki wiele. Tylko tego, żeby zaakceptowała mnie i moje życiowe wybory. Znowu się jednak przekonałem, że fantazjuję o szczytach niemożliwych do zdobycia.

– Kamil... Dzięki za pomoc i chęci, ale następnym razem pójde do niej sam – zdecydowałem, kiedy w milczeniu doszliśmy do skrzyżowania.

– Dlaczego?

– Tak będzie lepiej. Twoja obecność wcale nie pomaga.

– Moja obecność ci nie pomaga?!

– Mnie tak, ale matka...

– Co matka? – wszedł mi w słowo. – Twoja matka i tak mnie nie lubi. I to tylko dlatego, że nie jestem dziewczynką. No cóż, nie ją pierwszą rozczarowało moje fabryczne wyposażenie – parsknął z ironią.

– A kogo rozczarowało? – Spojrzałem na niego, marszcząc czoło. Nie miałem pewności, czy sobie żartuje, czy tym razem właśnie mówi poważnie. To nieczęsto było oczywiste. Ale on zdecydował, że nie odpowie mi na to pytanie. Wróciłem więc do poprzedniego tematu.

– Słuchaj, nie chcę eskalować konfliktu między wami...

– Nie popisuj się – wszedł mi w słowo. Często tak mówił, kiedy używałem zbyt mądrych jego zdaniem słów.

– Kamil, ja po prostu czuję, że to się źle skończy – przyznałem.

– Ona nie lubi ciebie, ty nie lubisz jej, a za wszystko obrywa się później mnie. Za te twoje żarciki i odzywki. Jak już zdecydowałeś się mi pomóc, to trzymaj chociaż język za zębami, co?

– I co to zmieni? Pamiętasz tamte święta? Byłem perfekcyjnie uprzejmy i aż nadto miły, i co z tego? Wtedy ci się nie oberwało?

– wspomniał i przystanął, bo Luna właśnie znalazła miejsce do załatwienia swoich interesów.

Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Potrzebujesz pomocy, to ci pomagam. Nie robię tego dla niej ani dla siebie, robię to dla ciebie, tylko i wyłącznie. Więc docień to

i nie mów mi, jak mam żyć. Matka se pogada i przestanie, a ty przynajmniej będziesz miał moje wsparcie. Dług oddasz w naturze.

Westchnąłem. Młodego nie sposób było przegadać, jak już coś sobie postanowił. Ale zrobiło mi się jednocześnie trochę różniej na myśl, że cokolwiek się jeszcze wydarzy, nie zostanę z tym sam.

* * *

Co do tamtych świąt, Kamil miał rację.

Oberwało mi się.

Zapowiadało się tak dobrze, a wyszło jak zwykle. Chciałem go przedstawić matce, w końcu zaprosiła przecież nas obu, ale jak się okazało, chyba tylko po to, by tym dobitniej okazać swoją dezaprobatę.

Byłem tym obrotem spraw rozczarowany. Nawet zraniony. Ale jaki na pewno nie byłem, to zdziwiony.

Przez całe życie często mi się obrywało za innych. Matka nie mówiła wtedy do mnie „Saszka”, tylko „Bo Wy Wszyscy”.

My wszyscy byliśmy męskim kolektywem, który wiecznie postępował wbrew wszelkim zasadom człowieczeństwa. Za dużo pił, za głośno chrapał, miał zbyt konserwatywne poglądy. Za dobrze mu było, za bardzo przeklinał, miał o sobie zbyt wysokie mniemanie.

Winni byliśmy wszyscy, ale to ja byłem najczęściej pod ręką, a poza tym nie mogłem tak jak ojciec wyjść bez słowa, odszczeknąć się albo zwyczajnie matki zignorować. Oczywiście do czasu.

Kiedy byłem starszy i bardziej pyskaty, przestałem pokornie słu-
chać, zacząłem wchodzić z nią w otwarte polemiki, broniąc tego
kolektywu, którego poczułem się ambasadorem. Nie do końca pa-
sowałem do tej roli, od zawsze mając wrażenie, że jestem jakiś
inny, bo ten sztywny binarny podział do mnie nie przemawiał, ale
to nie miało znaczenia. Fakt, że jestem wyposażony w męskie ge-
nitalia, wystarczył, żebym zaliczał się do urojonej opozycji Vesny.

Chcąc nie chcąc, przejąłem od niej myślenie, że mężczyzna
i kobieta to naturalni antagoniści, my nie lubimy ich, one nas, tak
już jest i inaczej nie będzie. W pewnym momencie życia się w so-
bie zakochujemy, ale tak działa chemia mózgu, a potem czar pry-
ska i wracamy do nielubienia się, w najlepszym przypadku tolero-
wania swojej obecności. Wczesne doświadczenia z dziewczynami
tylko mnie utwierdziły w tym przekonaniu. Ich zabawy z definicji
były „babskie” i „głupie”, one zaś rzadko miały szanse wbić się na
chłopackie prestiżowe imprezy, jak kopanie piłki po podwórku –
chyba że akurat były na przykład wakacje i mieliśmy luki w skła-
dzie. Jednak z czasem doznałem kilku olśnień. Pierwsze dotyczyło
tego, że dziewczyny, jeśli tylko podejść do nich bez uprzedzeń, są
całkiem fajne, chociaż na wiele sposobów inne. Drugie – że po-
glądy matki nie są moimi poglądami. No i trzecie, najważniejsze,
że pojęcie płci to tylko pewien konstrukt myślowy, upraszczający
rzeczywistość do dwóch biegunów. Zaś między nimi jesteśmy my
wszyscy, po prostu ludzie.

* * *

Swoją drogą to ciekawe doświadczenie zobaczyć matkę z kimś innym niż ojciec. Miałem wielu znajomych, których rodzice w jakimś momencie życia rozwodzili się albo wdowieli, zakładali nowe rodziny, wprowadzali w ich krąg ojczymów, macochy, pasierbów, przyszywane rodzeństwo... Wychodziło im to bardzo różnie. Niektóre z tych patchworków były spójne i foremne, inne przypominały pierwsze koślawe próby szycia na zetpetach, zakończone wbiciem sobie igły pod paznokcie.

Bywałem przypadkowym świadkiem tych sytuacji, słuchałem o nich, ale nigdy się zbyt mocno nie wczuwałem, bo mnie to nie dotyczyło. Moi starzy trwali na posterunku niemal do samego końca, często robiąc dobrą minę do złej gry. Pierwsze poważne tąpnięcie mojej wiary w nieskalaność naszej rodziny miało miejsce, gdy już jako dorosły facet dowiedziałem się, że mój ojciec machnął sobie córkę na boku. A tak to żyłem sobie w błogiej nieświadomości, nie mając bladego pojęcia, że pod tą upudrowaną trupią maską małżeńskiego szczęścia moich rodziców naprawdę nie ma już życia.

Byłem całkowicie szczery, mówiąc Nikowi, że nie mam nic przeciwko. Matce też to powtórzyłem, chociaż wcale nie zapytała, już z góry profilaktycznie obrażona o wszystkie pretensje, jakie śmiałybym do niej mieć (podczas gdy sam... wiadomo). Ich relacja budziła we mnie głównie ciekawość. Obserwowałem ich dyskretnie podczas naszych spotkań. Podobno człowiek ma tyle masek, ilu znajomych, ale najpełniej odkrywa się przed swoim partnerem.

Miałem więc szansę zajrzeć za maskę Vesny i porównać ją z tą, którą sam znałem.

To z pewnością była inna Vesna. Spokojniejsza, ale odnosiłem wrażenie, że także bardziej obojętna. Kilka razy widziałem, jak puszcza mimo uszu to, o co z moim ojcem rozpętałaby regularną wojnę. Do wielu nieprzemyślanych pomysłów czy zachowań Nika podchodziła z pobłażliwością, jakiej nie miała dla Nowickich. Czasami tylko uśmiechała się pod nosem, nic nie mówiąc. Mógłbym dojść do wniosku, że związała się z nim z samych przyziemnych pobudek – ekonomia, lęk przed samotnością, nuda i te sprawy – jednak przez to wszystko przewijała się skrywana czułość, akceptująca i wyrozumiała tkliwość, jakiej dla Nowickich też nigdy nie miała. Może w starszym wieku miłość nie składa się już z uniesień, tylko ze zgody i spokoju?

Breznik przejmował się dużo bardziej, próbując cały czas być o krok przed Vesną, co chwilami wyraźnie ją denerwowało.

– Niko, ty mi nie mów, co ja myślę! – przywoływała go do porządku, gdy się za bardzo zapędzał w próbach wyprzedzania jej życzeń i żądań. Wycofywał się wtedy z uśmiechem, bez żalu. Z początku myślałem: pantoflarz, ale z czasem zacząłem rozumieć jego strategię. On niczego nie forsował, on osiągał imponujące wyniki cierpliwością w czekaniu na odpowiedni moment.

Matka przy nim łagodniała. Ukrywała to starannie, ale widziałem zmianę. Na mnie nadal głównie warczała, Młodego ignorowała albo traktowała z chłodną uprzejmością, ale kiedy myślała, że tego nie widzimy, topniała w ciepłe Breznika.

– Vesenko – przemawiał do niej tym swoim profesorskim, sugestywnym tonem. – Ty nie myśl o kłopotach, hm? Ty myśl o huśtawce, która czeka na ciebie w naszym ogrodzie.

I nagle pioruny z oczu znikwały, Vesna rozkwitała uśmiechem jak podłotek, a ja z podziwem patrzyłem na tego zaklinacza żywiołów.

Jak do tego doszło, wolałem nie pytać. Nie byłem nigdy zbyt uważnym świadkiem ich wcześniejszej przyjaźni. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób przekształciła się w głębsze uczucie, w decyzję o wspólnym życiu – ani kiedy. Popierałem to jednak w stu procentach, chociaż jak ognia unikałem myśli, że ten ich związek ma jakikolwiek aspekt fizyczny. Jak również tej, że jest czymkolwiek innym niż świadomym wyborem dwojga wdowców, którzy nie chcą ostatnich dekad życia spędzić samotnie. Nie chcę wiedzieć o niczym, co mogło mieć miejsce w przeszłości, a nie było przyjaźnią. Wystarczy, że ojciec pozbawił mnie złudzeń co do swojej nieskalanej moralności, po tych wszystkich swoich pogadankach i tyradach na ten temat, które do mnie kierował. Vesna niech zostanie Vesną, i niech chociaż sama będzie świętą, skoro tak dokładnie wie, jak powinienem żyć.

* * *

Nie rozumiałem tej zawziętości Vesny wobec Kamila. Wielu spotkałem w życiu homofobów, bifobów także, ale ona nie wpisywała się w żaden model. Ona, humanistka, która zawsze widziała w człowieku przede wszystkim człowieka? Jak? Jak to możliwe, że moja matka nie potrafi zrozumieć, że jej syn kocha innego mężczyznę? Sama wpajała mi szacunek dla odmienności, sama uczyła mnie tolerancji. I nagle jej tolerancja się skończyła, kiedy nadarzyła się okazja, by okazać ją w praktyce – mnie i mojemu partnerowi. Nagle tolerancji nie ma. Bo coś, co do tej pory przydarzało się tylko innym ludziom, którym należało współczuć z tego powodu, przydarzyło się nam.

Miałem cichą nadzieję, że z czystej przekory w końcu się polubią. Że matka doceni jego dosadny żart, przecież zawsze najbardziej lubiła w ludziach poczucie humoru. Że Kamil powie coś w rodzaju „Jest fajna, bo mi ciebie urodziła”. Niestety krok po kroku, dzień po dniu sprawy zmierzały raczej w odwrotnym kierunku. Nie pomagał w tym ani bałkański temperament Vesny, ani niepokorny duch Młodego. Prosiłem go wiele razy, by był nieco miłszy albo przynajmniej się nie odzywał, kiedy nie potrzeba. Ale wszystko na nic. I wreszcie nadszedł moment, kiedy prawie rzuciliśmy się sobie do gardeł.

Akcja przeprowadzka trwała już od kilku dobrych tygodni. Z łatwością można by było ten czas skondensować, chociaż nie bywaliśmy u Vesny codziennie, a co trzy, cztery dni, jednak miałem niejasne wrażenie, że ona sama to wszystko celowo rozwleka i odwleka.

Pomagaliśmy rozkładać i przewozić meble, z którymi nie potrafiła się rozstać. W ogóle rozstanie z czymkolwiek przychodziło jej z trudem. Na korkowej tablicy w przedpokoju od samego początku wisiała lista instytucji, które ponoć miały chętnie przyjąć wszelkie używane dobra. Ubrania oddamy tu, książki tam, sprzęty z kuchni jeszcze gdzie indziej, ale instytucje musiały obejść się smakiem. A każda próba przekonania mojej matki kolekcjonerki, że może jednak nie potrzebuje tych wszystkich skarbów, może komuś bardziej się przyda to, co u niej tylko zbiera kurz, kończyła się tak samo:

– Już raz w życiu musiałam wyjść z mieszkania prawie tak, jak stałam. Teraz nikt mi nie będzie mówił, co mogę sobie zostawić, a czego nie.

O ile byłem nawet w stanie zrozumieć tę próbę zrekompensowania sobie dawnej straty, to już zupełnie nie wiedziałem, po co nawet stare pisma z ZUS-u matka ogląda po piętnaście razy i wciąż odkłada je na kupkę „zostawić”. W końcu sam po kryjomu przejrzałem te papiery, ważne schowałem z powrotem do teczek, a makulaturę wyniosłem na śmietnik, kiedy matka była zajęta czymś innym. Nawet się nie zorientowała, że czegoś brak. Z całą resztą

jej gratów pewnie byłoby tak samo, gdybym tylko miał szansę się ich niepostrzeżenie pozbyć.

Niestety Vesna na wszystko miała czujne oko. Pudła książek, ubrań i dupereli mnożyły się bez końca. Zrobiliśmy z nimi kilka kursów do Grotnik, gdzie przy okazji na powrót składaliśmy meble, a stamtąd zabieraliśmy rzeczy Breznika. Jego parterowy dom nie był duży, więc nie istniała opcja, żeby zatrzymali wszystko, a ponieważ Vesna kocha swoje graty, to Niko musiał się pozbyć wielu własnych, które rozwoziliśmy po instytucjach albo jego znajomych. To nam jeszcze dokładało roboty, jakbyśmy i tak mieli jej za mało.

Na szczęście w przeprowadzce pomagał także jeden z synów Breznika, Miłosz. Spytałem go pewnego dnia, co on o tym wszystkim sądzi.

– A co mam sądzić, Sasza? – odparł półgłosem, upewniwszy się najpierw, że żadnego z naszych rodziców nie ma w pobliżu. Ale nie, kręcili się oboje przy domu, podczas gdy my we trzech wystawialiśmy krzesła i komódki z pożyczonego dostawczaka. – Zawsze miałem ojca za rozsądnego człowieka. Ale, jak widać, niesłusznie. Ma okazję przenieść się do miasta, bliżej nas, to nie – lepiej sobie ściągnąć kobitę i jej rzeczy tutaj, swoich się pozbyć, w ogóle bardziej skomplikować tej akcji już się chyba nie dało. – Machnął ręką. – A ja właśnie niedawno zacząłem remont w mieszkaniu.

I zamiast robić u siebie, to muszę co chwila popitalać tutaj. Zły jestem, tyle ci powiem. Chciałbym się cieszyć ich szczęściem, ale jakoś nie mogę.

W tej kwestii byliśmy zatem zgodni.

– A w ogóle, to czy mnie się wydaje, czy twoja mama nie za bardzo popiera wasz związek? – zapytał Miłosz, który dla odmiany fakt, że mam faceta, przyjął do wiadomości zupełnie naturalnie.

– Nie, nie wydaje ci się. – Młody wyręczył mnie w odpowiedzi.
– Nienawidzi mnie.

Młody Breznik westchnął, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– To z całego serca wam życzę, żeby pewnego dnia zmieniła zdanie.

Niestety, mimo jego szczerych życzeń, stało się zupełnie odwrotnie.

Tamtego sądniego dnia Vesna zatrudniła nas do pakowania w kartony szkła i porcelany z kredensu w dużym pokoju, ostatnim pomieszczeniu, poza kuchnią, jakie zostało do wysprzątania.

Jak to się mówi? Miejsce kobiety jest w kuchni? Zupełnie tak nie uważam, Vesna też nieraz się z tego śmiała, ale rzeczywiście to było jej ulubione miejsce w mieszkaniu. Ciągle ulepszała wystrój, kupowała nowe firaneczki, obrusy, osłonki na doniczki, poduszki na siedzenia. Tam miała swój kącik czytelniczy, przy kuchennym stole siadała z laptopem, kiedy miała coś do napisania, tam też bar-

dzo często przyjmowała przyjaciół. Kuchnia stanowiła jej królestwo, jej świątynię i azyl. Ojciec mógł się rządzić w całym domu, ale tam nie miał wiele do gadania. I z jakiegoś powodu nawet to szanował.

Teraz mieszkanie pustoszało, a kuchnia pozostawała wciąż nieknięta. Ostatni bastion, strefa bezpieczeństwa, w której matka zapewne łapała oddech przed zbliżającą się wielkimi krokami wielką zmianą.

Wiem, uciekam w dygresje, ale z niechęcią wspominam tamten sądny dzień. Który zaczął się całkiem zwyczajnie. Ani lepiej, ani gorzej niż inne dni, które z Młodym spędzaliśmy u Vesny. Jednak nagle coś poszło bardzo źle.

Pamiętam, że siedzieliśmy w dużym pokoju, ostrożnie zawijając w gazety szklanki i talerze, a Vesna zdejmowała ze ściany nasze rodzinne portrety. Z przejściem opowiadała o każdym z nich Nikowi, on kiwał głową, jak gdyby już o tym wszystkim wiedział, a Kamil i ja słuchaliśmy tych historii mimochodem.

– To jest Ivana, moja mama, Saszy babcia – tłumaczyła matka z przesadną dokładnością, tak jakby zależności pokrewieństwa nie rozumiały się same przez się. – Podobny jest do niej, prawda?

– Tak, rzeczywiście jest pewne podobieństwo. – Niko, marszcząc czoło, spojrzał na mnie, a potem znowu na portret. – Ale, hm, oczy Sasza ma zupełnie jak Witold.

– No, oczy ma po ojcu – zgodziła się, a ja nie byłem pewien, czy w jej głosie wychyciłem nutę tęsknoty, czy niechęci.

– A poglądy ma po kim? – zainteresował się bezczelnie Młody. Spojrzałem na niego wymownie. Przeprosił mnie wzrokiem.

Vesna już miała mu coś odparować, kiedy na szczęście wtrącił się Breznik.

– I ty też jesteś podobna do mamy. Tak samo piękna, Vesno.

Połechnął ją tym na tyle, że na chwilę zapomniała o prowokacji Kamila.

– Och, co też ty mówisz – zaczęła się krygować. – Mama to był istny anioł w ludzkiej postaci, gdzie mi tam do niej. Zawsze elegancka, opanowana, nigdy nie podniosła na nas głosu, a posłuch miała, że hej.

– Hm. Powiedziałem, że jesteś piękna, a nie opanowana – zaznaczył Niko, a ja niechcący parsknąłem śmiechem pod nosem.

– No, a Saszę jak zwykle wszystko śmiesz – podsumowała z przekąsem matka. – Najweselszy będzie pewnie na moim porzebie.

I na tym mogłoby się skończyć, kiedy Młody znowu się odezwał, ale tym razem tak nieoczekiwanie, że wszyscy troje jak na komendę zwróciliśmy na niego oczy.

– Ja też muszę przyznać, że jest pani jedną z najbardziej eleganckich kobiet, jakie w życiu spotkałem.

Każdy normalny człowiek odpowiedziałby po prostu „dziękuję”. Ale nie Vesna. Przez chwilę przypatrywała mu się podejrz-

liwie. Pewnie rozważała w duchu, czy z niej zakpił, czy może próbuje się przypodobać, nieświadom, biedaczysko, że ona swojego zdania tak łatwo nie zmienia. W końcu wypaliła:

– Och, dziękuję. Nie spodziewałam się takiego komplementu... od znawcy kobiet.

Kamila przytkało. Mnie na chwilę też. A nawet Breznika. Serio, właśnie w momencie, kiedy Młody postanowił powiedzieć coś uprzejmego, ona wyskakuje ze słabym komentarzem na temat jego orientacji?

Niko pierwszy doszedł do siebie. Spróbował ją zmitygować:

– Ależ Vesenko...

– Co Vesenko? – Matka przybrała wyzywającą pozę. – No co Vesenko? Ten człowiek jawnie ze mnie kpi, odkąd przestąpił próg tego domu! A ja mam to w ciszy znosić?

– Sama sobie na to zapracowałaś – podsunąłem, wzburzony.

– A ty się nie odzywaj! – naskoczyła na mnie, jakbym był gówniarzem, a nie prawie czterdziestoletnim facetem.

– Bo co? – odszczeknąłem na tym samym poziomie i przez chwilę miałem wrażenie, że matka ciśnie we mnie tym, co właśnie trzyma w ręku, czyli jednym z portretów oprawionym w dość solidną ramkę. Dostać kantem – to bym z pewnością poczuł i czuł jeszcze długo.

– Na kobietach może i się nie znam – wtrącił Kamil, odzyskawszy mowę – za to na elegancji tak. Ale jednak się pomyliłem. Elegancja zakłada pewien poziom obycia towarzyskiego.

Cud, że matki w tym momencie nie trafiła apopleksja. Na moment aż się zapowietrzyła, a potem hulnęła na niego, czerwona na twarzy.

– I kto to mówi? Ty? Ty mnie będziesz pouczać, jak się należy zachowywać?

– Vesenko... – Niko bezskutecznie próbował stłumić konflikt w zarodku.

– Milcz! – Jemu też się oberwało. – A ty, bezczelny szczeniaku, nie waż się więcej odezwać w tym domu ani słowem! Ani słowem, rozumiesz?

Młody, jak nietrudno się domyślić, strasznie się tym przejął. Tak bardzo, że aż wcale.

– *Nimalo srama!* – rzucił kpiarsko.

W tym momencie i matka, i Niko spojrzeli na niego z wyraźną urazą. W ich uszach to musiało zabrzmieć jak nabijanie się z naszej bałkańskości. Z pewnością nie miał takich intencji, po prostu palnął coś głupiego, jak zawsze, kiedy zaczynał się za bardzo denerwować. Do głosu dochodził w nim wtedy przekorny chłopiec, który całkowicie przejmował kontrolę nad dojrzałym mężczyzną.

Ale to Vesna postawiła kropkę nad i. Wielką, jaskrawą, krzyżącą jeszcze długo w ciszy, jaka po niej zapadła.

– I co, teraz widzisz, że on się z nas naigrawa? – zwróciła się najpierw do Nika, a potem z furią wygarnęła Młodemu: – Pięknie cię matka wychowała, nie ma co!

Kiedy Vesna rzuciła tym nieszczęsnym stwierdzeniem, Młody zrobił się zielony. Zamarł z talerzem w rękach, a ja gorączkowo myślałem, jak subtelnie zabrać mu go z rąk, żeby nie skończyło się to katastrofą, w końcu to gościnna zastawa, cenna, unikatowa, oczko w głowie.

– Kamil? – odezwałem się ostrożnie, wyciągając dłoń. – Mogę?

– Co? Nie, nie trzeba. – Otrząsnął się jak pies po kąpieli i jak gdyby nigdy nic wrócił do zawijania naczyń w papier. Jednak kiedy patrzyłem na jego twarz, serce mnie bolało. Wyglądał, jakby ostatkiem sił powstrzymywał się od łez.

Matka też musiała to dostrzec. Zamilkła, spojrzała na mnie kontrolnie, a widząc mój pochmurny wzrok, szybko się połapała, że chyba strzeliła grube *faux pas*. Ale ostatnia rzecz, jakiej można się spodziewać po Vesnie, to że przyzna się do błędu. To inni błędzą, nie ona. Ona jest tylko szczerą i mówi prawdy, do których inni nie chcą się przyznać.

Niko cicho chrząknął. Sprawiał przez chwilę wrażenie, jakby chciał o coś zapytać, ale tylko ledwo dostrzegalnie potrząsnął głową i spuścił wzrok.

Napięcie w pomieszczeniu odczuwalnie wzrosło. Było jak ten moment tuż po burzy, kiedy niby już jest spokój, ale nigdy nie wiadomo, co jeszcze może pierdolnąć i skąd, a powietrze aż iskrzy od elektryczności. Zaniepokojona Luna trąciła mnie w dłoń zimnym nosem.

– Trzeba chyba wyjść z psem – olśniło mnie momentalnie. –
Młody, idziesz?

– Tak. – Nieuważnie odłożył kolejny talerz i zerwał się z puffy,
na której siedział. Ja też szybko wstałem.

– Ale ty jeszcze wrócisz? – zdążyła zawołać za nami matka,
kiedy opuszczaliśmy mieszkanie w zorganizowanym pośpiechu.
Musiała użyć tej swojej pieprzonej liczby pojedynczej. Musiała.

– My! Wrócimy! – odkrzyknąłem, chociaż wcale nie byłem
tego taki pewien.

Tak jak przypuszczałem, kiedy tylko wyszliśmy z budynku, Ka-
mil oznajmił:

– Nie wiem jak ty, ale ja idę do domu. Mam na dzisiaj dosyć.
Sprzątań i wyrazów zajebistej wdzięczności, które dostaję od
twojej matki.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Nie mogłeś mi tego powiedzieć na gorze? Zostawiłem plecak.

– Nie pomyślałem – przyznał. – Dopiero teraz doszedłem do
siebie. To co, wracasz ze mną?

– Powinienem... – zacząłem, ale sam się zastanowiłem. Co ja
właściwie powinienem? Wrócić do matki i udawać, że nic się nie
stało? Solidarnie wracać z nim do domu? Któremu z nich mam
okazać lojalność? A któremu pozwolić śmiertelnie się obrazić?

Decyzja równie łatwa, jak wybór śmierci z rąk psychopaty.
Chcesz być oskórowany czy nabity na pal? Dziękuję, chciałbym

umrzeć z powodu zużycia materiału, we śnie, tylko że takiej opcji nie ma.

Matka jest tylko jedna. Kamil też jest tylko jeden. I nawet ja jestem tylko jeden, chociaż czasami mam wrażenie, że jest nas dwóch. Ale nie ma bata, ich obojga naraz nie zadowolę, choćbym nie wiem jak próbował.

Może rzucę monetą?

* * *

Całość dostępna na e-bookowo.pl